

LITERACKO-NAUKOWY

WYCHODZI CO NIEDZIELĘ POD REDAKCJĄ PROF. MIECZYSLAWA DĄBROWSKIEGO

Mgr WALERJAN LACHNITT (Kraków).

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI
W TEATRZE KRAKOWSKIM.

(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ZGONU PISARZA: 23 XI 1927 — 23 XI 1937).

ZWIĄZEK PRZYBYSZEWSKIEGO
Z KRAKOWEM.

Jak cała ta epoka literatury, tak i Przybyszewski ściśle był związany z Krakowem. Stąd szerzyła się „przybyszewszczyzna”, stąd „dymy szły po literaturze”, tu tworzyły się nowe wartości, tutaj namietnie zwalczano „mydlarza” — tutaj wykluwała się *Młoda Polska*. Lata na przełomie dwu wieków słuszywa nazywa się epoką Przybyszewskiego.

Tę jego działalność dostrzec można wyraźnie także i na terenie teatru. Wystawienie „Wnętrza” Maeterlincka przez Pawlikowskiego przy pomocy Przybyszewskiego, a potem dramat „Dla szczęścia” znaczą nowy okres nie tylko w dziedzinie dramatu, ale i w historii teatru. Pawlikowski, Przybyszewski, a w wykonaniu aktorskim Solski, otwarli nową erę nastrojowego, symbolicznego teatru.

Przybyszewski naogół w dobrych z teatrem pozostawał stosunkach. Raz tylko znalazł się — zresztą bez swej wiedzy, jak się potem wyjaśniło — pod owym protestem dramaturgów, wymierzonym w Kotarbińskiego, a domagającym się na dyrektora Wyspiańskiego. A właśnie Kotarbińskiemu zawdzięczał Przybyszewski wiele. Dzięki niemu utrwalił swe stanowisko w dramacie i teatrze polskim, dzięki niemu na zawsze został związany z krakowską sceną.

TEORIA DRAMATYCZNA
PRZYBYSZEWSKIEGO.

Przybyszewski zbyt wielką rolę odgrywał w świecie literackim i kulturalnym Krakowa, by nie miał być przez jednych gloryfikowany a przez drugich, namietnie nieraz, potępiany. Jednego nie można mu było odmówić: niezwyklej oryginalności ujęcia zagadnienia tragicznego. Dla wszystkich jasnym było, że nie przeciwstawienie się Fatum — Ananke — Bogu jest ośrodkiem jego dramatycznych koncepcyj, ale walka wewnętrznych mocy człowieka, którym przeciwstawia się rozum i wola — walka, w której zawsze jednak triumfuje „sprawiedliwość wewnętrzznego porządku rzeczy”.

Sam Przybyszewski niejednokrotnie w artykułach zamieszczonych w warszawskim „Kurjerze Filaralnym”, a potem w broszurze „O dramacie i scenie” (Warszawa 1905) dawał wyraz swym artystycznym teorjom i ustalał swój stosunek do dotychczasowego dramatu. Oto co powiada:

„Nowy dramat polega na walce indywidualności z sobą samym, tj. z kategoriami psychicznymi, które w stosunku do najgłębiej uarytych źródeł indywidualnych, stanowiących rdzeń jaźni w obrębie samego indywidualności, tak się mają do niego jak zewnętrzność do wewnętrzności: pole walki jest tu (w stosunku do dawnego dramatu, stawiającego jednostkę wobec kategorii zewnętrznych) zmienione, mamy do czynienia z jedną rozlaną, rozbołałą duszą ludzką. Dramat staje się dramatem niepokoju, lęku i strachu”.

Tą straszną mocą w człowieku jest miłość, pojęta jako potęga żywiołowa, istota wszechrzeczna, która owładnięwszy nim staje się jego przeznaczeniem, a wyzolenie z jej uścisków dać może

tylko śmierć. Ta idea stała się tematem dramatów Przybyszewskiego.

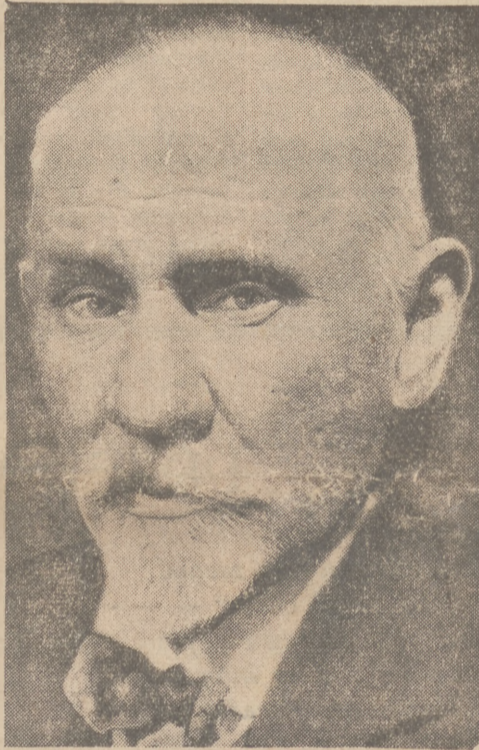
PRZYJACIELE I PRZECIWNICY.

Pesymizm, tkwiący w jego utworach, najczęściej przysparzał mu przeciwników.

Pesymizm, tkwiący w jego utworach, najczęściej przysparzał mu przeciwników. Złote runo (wystawione 11. V. 1901). Rydel w „Czasie” pisał: „Jako całość artystyczna, pod względem założenia, budowy, stopniowania tonu, należy „Złote runo” do najlepiej napisanych sztuk polskich”. Ale większość krytyki krakowskiej odmiennego była zdania „Głos Narodu” potępił sztukę za pesymizm, „Przegląd Polski” za temat, stojący w sprzeczności z szóstym przykazaniem „Naprzód” znalazł tu tylko konflikt sytuacji a nie starcie dusz, a już najdosadniej świat bohaterów dramatu określił Prokesh w „Nowej Reformie” jako świat psychopatji seksualnej i zbrodni psychicznych.

Po premierze „Gości” — drugiego członu

„Tańca miłości i śmierci” — krytyka dzieła Przybyszewskiego, opanowanego „chorobliwą” manją (określenie tak charakterystyczne dla ówczesnego Krakowa!) nazywała poprostu niezrozumiałem lub, co najwyżej — przepisem na dramat, wyrażonym symbolami. Da leko sprawiedliwszą ocenę dał znowu Rydel: „Goście” są może najlepszym dotąd, najdoskonalszym, najbardziej jednolitem dziełem tego pisarza, który w tym jednym akcie wypowiada się całym”. Wie Rydel, że Przybyszewski idzie w pierwszym szeregu zwolenników nowej sztuki, wywodzącej się z teorii, że świat wewnętrzny, nie zewnętrzny, stanowi treść jej i przedmiot. Takiej poważnej krytyki niezmierznie wówczas mało. Ogół szermuje utartymi sadami o więzieniu szkoły, pokucie i ekspiacji, zbrodni i karze, dziedziczności i zwyrodnieniu, tragicznie sytuacji, kłótnie, symbolach i dreszczach przeżyć.



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

ROZBIEŻNOŚĆ SĄDÓW.

„Matka” (wystawiona 27. IX. 1902) przyniosła nowość w twórczości Przybyszew-

skiego, z uznaniem podniesioną przez krytykę. Szło mianowicie o kontynuację pomysłu — a jak zastrzegal się Przybyszewski, zdobycz własną, niezależną od poprzedników — wprowadzenia postaci fikcyjnych w „Zaczarowanym kole” i „Weselu”, o rozszczępienie postaci. Mniej wdzięcznego przyjęcia doznał „Śnieg”, w którym dostrzeżono więcej idealizmu ale i wciąż jeszcze kurczowe trzymanie się ulubionej dziedziny przeżyć erotycznych. Ten dramat symbolów, mistyki uczuciowej sklasyfikowano niżej od „Matki”.

Widownia owocniejsza była niemniej grymasna niż dzisiejsza, „nie przywykła jeszcze — pisał „Tygodnik” — do tego rodzaju dzieł scenicznych, pragnie plastycznie przedstawionego działania, pragnie życia i ruchu, zewnętrznych, łatwo uchwytnych konfliktów”. Krytyce wiecznie niedość było prawdy życia — to też recenzentowi „Nowin” „Śnieg” wydał się szczytem histeryj w literaturze, a „Śluby” — „obeliskiem nonsensu”. Podczas gdy Juljusz Oszański w „Czasie”, a Marjan Jastrzębski w „Naprzódzie” stwierdzali po przedstawieniu „Ślubów” (17. II. 1906) zerwanie Przybyszewskiego z sensualizmem i erotomanją, konieczny odnajdywał stary, znany fatalizm miłości, dłużyny dialogów i brak akcji. Gdy znowu Prokesh dał się ponieść entuzjazmowi nad faktem, że Przybyszewski nareszcie porzucił w „Odwiecznej baśni” swój „chorobliwy” temat — chór autorów ze Stefańskim na czele konstatawał taniłość pomysłu, naiwność faktury, obfitość frazeologii i banalność symboliki.

ZMIERZCH
PRZYBYSZEWSKIEGO.

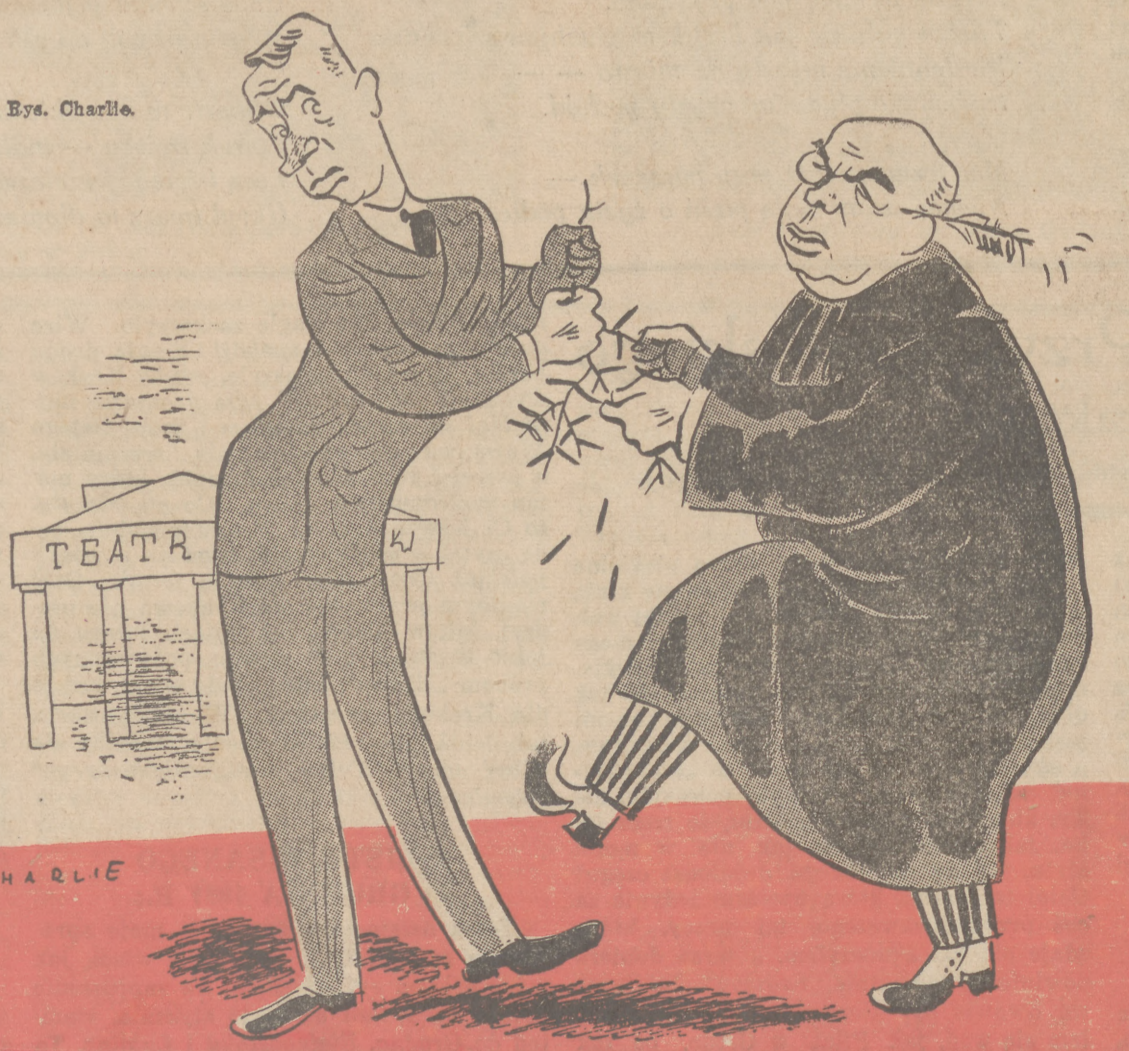
Mimo tych tak rozbieżnych głosów prasy krakowskiej, Przybyszewski obok Wyspiańskiego, był zasłużenie filarem dramatu polskiego tego czasu.

Po raz pierwszy przeżył się Przybyszewskiego stwierdza A. E. Balicki w „Przeglądzie Polskim” z okazji wznowienia „Dla szczęścia” (11 stycznia 1908). — W obronie Przybyszewskiego wystąpił W. Feldman w „Krytyce”, tłumacząc, że to nie autor przeżył się a snobizm pewnego okresu. Taż sama „Krytyka” powitała „Gody życia” (19 października 1909) jako dzieło indywidualności zdecydowanej a przeciw nie ograniczonej, nawet „Czas” musiał przyznać, że instynkt dramatyczny Przybyszewskiego zapanował tutaj nad chaosem symbolów, dając dzieło choć w części prawdziwe. Nawrót jednak do dawnego zakresu tematów poruszył niechętną Przybyszewskiemu prasę krakowską, ujemnie witając ten utwór. Po trzech latach jeden z krytyków tego odłamu nazwie je wręcz nudnym.

„Topiel” (27 kwietnia 1912) — wycieczkę w dramat mieszczański — nazwano kompromisem na rzecz porozumienia się z publicznością. Cóż, kiedy „zdrowia moralnego, jasnego, pogodnego na świat poglądu, jakiejś trzeźwej podstawy do wyprowadzenia z niej filozofji życia, niema w tej sztuce”. „Ludzi Przybyszewski nie stworzył w żadnym ze swych dramatów”. Za to nigdy nie znalazł u krytyki uznania, na jakie zasługiwał.

Długo scena krakowska nie widziała Przybyszewskiego. — Wznowiono raz „Złote runo” na gościnne występy Solskiego, potem „Dla szczęścia” z okazji przy-

MEC. HOFMOKL-OSTROWSKI ZARZUCA PLAGJAT Z. NOWAKOWSKIEMU.



„O MÓJ rozmarynie rozwijaj się...”

sjanie, Żydzi, Niemcy, Polacy i inni. Według statystyk oficjalnych jest ich 25 proc. Wielu twierdzi, że jeśli doliczy się do tej cyfry wynarodowionych, będzie ich znacznie więcej. Niektórzy z nich są obywatelami, wyznającymi zasadę: *Ubi bene, ibi patria*; takich my także mamy. Niemalże więc nabawiają oni kłopotów. Rząd lotewski, który za rozwiązanie problemu tego w ostatnim czasie wziął się dość energicznie, nie zawsze jednak zbyt szczęśliwie.

Chcąc skasować z ulicy język niemiecki i rosyjski, który tutaj więcej się słyszy (w miastach), niż lotewski, rozpoczęto od urzędów, zakazując prowadzenia rozmów w innym języku jak w lotewskim. Wielu „obywateli“ lotewskich wogóle bowiem tego języka do dziś nie zna, a że biurokraci wszędzie na świecie psują to, co duch ustawy nakazuje, niemalże spotyka się czasem dowcipnych „kwiatków“.

OTO WŁASNE PRZEŻYCIA.

Idę na pocztę, by telefonować do Polski. Proszę urzędniczkę o warszawską książkę telefoniczną. Odpowiada mi coś w języku lotewskim. Ja mówię, że znane mi są tylko angielski, francuski, hiszpański, niemiecki, rosyjski i trochę hinduski... Pytają o paszport.

Paszport?

Nie paszport, tylko o książkę telefoniczną mi idzie... Zrozumiałem wtedy, że chciała się moja rozmówczyni ubezpieczyć, czy rzeczywiście jestem obcokrajowcem, czy tylko „mniejszościowcem“. Ubawiłem się serdecznie, kiedy za chwilę rozmowa potoczyła się w dobrym języku niemieckim.

Przytaczam incydent ten dlatego, że problem ten na Łotwie ma poważne bardzo znaczenie polityczne.

Łotwa przeżywa jeszcze ciekawe, niejednokrotnie znane nam

PROBLEMY KONSOLIDACJI JEDNOŚCI NARODOWEJ,

tam bowiem kultura niemiecka ma swoje oddawna utrwalone „prawa nabyte“, a od czasu regimu hitlerowskiego „zglejszchalwane“. Według opinii Francuzów (przytoczę tutaj choćby książeczkę *Puaux*) niemieckie pismo „Rigasche Rundschau“ musi być mocno subwencjonowane przez Vaterland; ale oczywiście trudno wdawać się w przypuszczenia, zresztą niepotrzebne.

WPLYWY POLSKIE

sa na Łotwie duże, nie zawsze jednak zbyt dobre. Ambasadora Łukasiewicza wszyscy mile wspominają, czasy zaś *Batorego* dawno zapomniano. Ciekawo dom „czarnych głów“ w Rydze, gdzie, jak wiadomo, podpisany został *traktat pokoju z bolszewikami*, jest tylko ciekawostką ogladaną przez znużonego jazdą kolejową, a pragnącego „wrażeń“ turystę. *Inflanty Polskie* powoli wymaradawiają się, stanowiąc dzisiaj *Latgawie*, zamieszkałą przez *Latgalców*; o *Polakach*, których jest na Łotwie 70-kilka tysięcy, trzeba dopiero przypominać. Szkoły, podobno, mają wiele trudności, choć nie są to trudności skierowane specjalnie przeciw Polakom. Kurlandja z *Libawą* interesuje tylko naszych „wilków morskich“, kiedy Ryga zamara.

Jeśli teraz do emigracji osiadłej dołączy się poważna liczba *emigrantów sezonowych* (40.000) — jest czego doglądać. Słaby przyrost naturalny, oraz duży rozrost przemysłu lotewskiego pozwala rokować, że przy umiejętnym postawieniu kwestji Łotwa będzie dla nas sporym rynkiem emigracyjnym.

Z punktu widzenia

STOSUNKÓW HANDLOWYCH

jednak teren lotewski jest, że się tak wyrażę „*zabagnionym*“. Tutaj znać ślady gospodarki reglamentacyjnej i kompensacyjnej, widać rezultat, jaki stworzyły różne „małżeństwa towarowe“: ryby za sól, węgiel za papier, farby za naftę itp. itd... Zaraz wytłumaczę o co mi idzie.

Kiedy zawarto w r. 1927 *traktat handlowy i nawigacyjny*, dający Łotwie klauzulę największego uprzywilejowania (KNU) i pewne ulgi celne, obroty z Łotwą doszły w r. 1929 do czterdziestu kilku milionów fr. zł. (70 milionów zł.), stawiając Polskę na równym poziomie z państwami zajmującymi *pierwsze miejsce* w wymianach z Łotwą: Niemcy, Anglja i Polska walczyły o pierwsze trzy pozycje.

Co kupiec jednak wymyśli, to *biurokrata poprawi*... Obroty te powoli, ale stale „poprawiano“, aż doszły one do cyfry... 3 milionów w r. 1936/37. Teoretycznie zaś powinny być równać się zeru, gdyż brak umowy kontyngentowej na takim stawia je poziomie. Znow, tylko *inicyjatywa prywatna* wymyśliła możliwość transakcji wiązanych, kompensujących się, utrzymując termometr handlowy nieco powyżej zera...

Gnębienie biurokracji mniej nas tutaj obchodzi. Przykład ten pokazuje nam, o czym już poprzednio pisaliśmy, co może i co powinna robić polska polityka nad Bałtykiem.

ATUTY POLSKIE NA ŁOTWIE.

Jeśli wpływy polskie mają mieć jakikolwiek ciężar gatunkowy w krajach nadbałtyckich, muszą one być *zdwojone silną wymianą handlową, stosunkami morskimi, emigracyjnymi*, nie ograniczać się zaś tylko do stwierdzenia „*platonicznej miłości*“.

W deklaracjach politycznych polsko-bałtyckich utarła się już formułka: „*nie nas nie dzieli, nie mamy interesów sprzecznych*“. Ta święta zgoda nie ma najmniejszego znaczenia. Kto myśli inaczej — łudzi się.

Atuty, jakie Polska ma przez swą naturalną pozycję „*nieszczęścia*“ politycznego (wspólne cele, jednakowe trudności), nie ma żadne inne państwo w tej części Europy. *Niemców* tutaj nie lubią, ale ich szanują i obawiają się politycznie, cenią ich jako potencjonalnego nabywcę. Pozycja *Rosji* jest może podobna do niemieckiej. *Polski* nikt tutaj za kraj zaborecy nie uważał. *Okupacja polska*, podobnie, jak i szwedzka pozostawiała wspomnienia raczej *przyjazne*. Utrwaliło się przysłowie: „*good old swedish times*“. Atuty nasze tutaj są więc b. mocne, pozycja zaś b. słaba. Trzeba dobrze tę partję umieć rozegrać.

ka na *drugim miejscu* po lotewskim, urzędowym. Na gwałt otwierane są *szkoły angielskie*. Zabawnym np. faktem jest przyjęcie języka angielskiego jako *urzędowego porozumiewawczego* między krajami bałtyckiej ententy. Przedstawiciele Estonji, Łotwy i Litwy zebrał się kilka lat temu (1925), celem uzgodnienia wspólnych celów i dążeń. Łotysz z Litwinem może rozmówić się, tak jak Polak z Rosjaninem, z Estończykiem natomiast nie obejdzie się bez tłumacza.

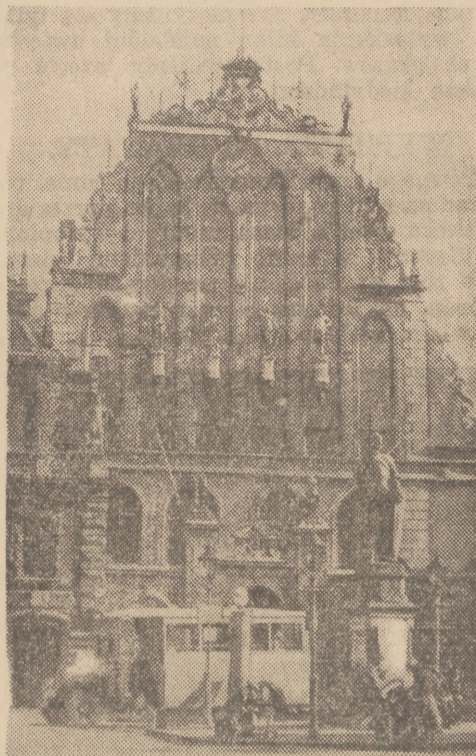
Wszyscy jednak doskonale mówią i po rosyjsku i po niemiecku (szkoły tutaj były prowadzone w niemieckim i w rosyjskim), językiem zaś porozumiewawczym wybrano *język angielski*, którym prawie nikt nie mówi, albo „mówi“ znikomy procent, tak jak w Indiach językiem angielskim może mówić kilkanaście milionów (niektórzy twierdzą, że tylko kilka) na 350 milionów ludności. Przemówienia więc i dokumenty urzędowe rozumie zaledwie 5—10 proc. obywateli. Oto wpływy, których można Anglikom *pozazdrościć*.

TYLKO POLSKA Z ŁOTWĄ.

Anglja więc dyktować może swoje warunki, Niemcy i Rosja dają Łotwie „na życie“, *Polska* natomiast może i *jedno i drugie*, gdyż rozumieją tutaj wszyscy, że istnienie Polski to istnienie krajów bałtyckich; niebezpieczeństwa są jednakowe, cele jednakowe, tylko polityka idzie jakoś rozbieżnie, a kupcom wszyscy wchodzą w drogę, zamiast im pomagać.

Październikowa wizyta naszego ministra niezawodnie przyczyni się do wyrównania tej luki i można się spodziewać ciekawych rezultatów w najbliższej przyszłości. Nasz przedstawiciel handlowy *konsul Ryniewicz* z Rygi wiele już w tej dziedzinie zrobił, ale wiele jeszcze pozostało pracy do zrobienia.

Oby wreszcie zrozumiano u nas, że kraje nadbałtyckie, to najbliższy sąsiad. *Najbliższy*, mimo, że taryfa pocztowa, np. dalej go klasyfikuje od takiej Czechosłowacji, czy Rumunii, a chłód północy każdego nabawia strachem kataru, zapominając, że na samej północy Finlandji, już w kole Arktycznym, nigdy nie zamara, dzięki golfstream'owi, podczas kiedy u nas nie byle jakie czasem przechodzą mrozy; różnica więc jest nie tylko w temperaturze, ale i w polityce...



Pałac pod „Czarnymi głowami“ w Rydze, gdzie podpisano w 1921 r. pokój z Rosją sowiecką.

ANGLJA ZDOBYWA POZYCJE.

Zaufanie tu Polska może zdobyć łatwiej, niż każde inne państwo. Wpływy nasze mogą być mooniejsze, niż angielskie. *Anglja* przez wspaniałomyślny zakup towarów lotewskich ma tutaj posłuch nie byle jaki. Zdolna jest ona nie tylko węgiel swój sprzedawać po cenach niekonkurencyjnych, ale gwarantować sobie 75 proc. całego lotewskiego zapotrzebowania.

Język angielski urósł do znaczenia języ-

STANISŁAW SIEDLECKI (Warszawa).

Fotografie autora.

Wspomnienia z wyprawy na Grenlandję

LIS NIEBIESKI.

POCZUCIE HUMORU U ESKIMOSÓW.

Eskimosi obdarzeni są naogół silnie rozwiniętym *zmysłem humoru*. Jest to naród stale *wesoły, pogodny*. w czasie łowów lub na głodno milczący, lecz zwykle *gadaliwy*. lubiący śpiew i dowcipy.

Wydaje mi się iż ludzie tacy, jak Grenlandczycy, którzy potrafią także doskonale bawić się i cieszyć sytuacją czy powie-

Z czego Eskimos się śmieje?

ŚMIECH

Z CUDZEGO NIESZCZĘŚCIA.

Nasi Eskimosi znali się doskonale na

dzeniem, które dzięki temu tylko jest śmieszne, że pozbawione jest jakiegokolwiek sensu, ci muszą mieć zarówno doskonałe *poczucie humoru*, jak też odpowiedni *zapas inteligencji*. Niewątpliwie bowiem łatwiej jest śmiać się z niczem nie skomplikowanego kawału, niż z dowcipu, który wiąże się z przeprowadzeniem pewnego rozumowania logicznego, zakończony jakąś najmniej spodziewaną „*point'a*“.

ich zawsze widok *cudzego niepowodzenia*.

Toma chybił, strzelając do mewy... Abli i inni nie posiadali się z radości. Stefan spadł ze stromej a chropowatej lodowej ścianki, zdzierając sobie skórę ze wszystkich palców u rąk... Grenlandczycy pokładali się ze śmiechu. Gdy myliłem się przy nauce języka eskimoskiego, rzadko kiedy któryś z tubylców zwracał mi uwagę na błędy. Raczej słuchał uważnie, jak kaleczę jego mowę, wylawiając przytem i zapamiętując sobie, co komiczniejsze, użyte przeze mnie zestawienia słów. Potem mili nasi towarzysze rozmawiali pomiędzy sobą, starając się mnie naśladować i używając jak najczęściej przeze mnie wymyślonych powiedzeń.

bramie pałacu dyktatora. Na szczęście, nikt tego nie zauważył, nie wykorzystał i nie dokonał zamachu stanu, 607 w dziejach prawie stuletniej republiki Plenaguana.

— Szkoda, że nie — westchnął prezydent — bo rebelję stłumiłbym z łatwością, a miałbym pretekst do ponownego odroczenia wyborów... I co teraz? Wybory, to katastrofa, gdyż lajdak Salsaparilla wszystkich nas... oooch!

Wzdrygnął się, potem długo nad tym problemem rozmyślał, nie mógł wymyślić, aż wreszcie przypomniał sobie swoich najbliższych współpracowników, niechże oni pomęczą się także, za coś biorą tyle pieniędzy ze skarbu państwa i wogóle zewsząd?! Chociaż zmęczony był nieludzką półgodzinnym nateżaniem umysłu, dawno odwykłego od podobnej gimnastyki, zdołał jeszcze napisać rozkaz dla swej kancelarii:

Jutro, piąta pop. posiedz. Rady Ministrów. Ostrzec ich, że za niestawienie się, potracą pół pensji!

Dzięki temu ostrzeżeniu nazajutrz wszyscy członkowie gabinetu republiki Plenaguana stawili się w komplecie, chociaż temperatura wzrosła od wczoraj o dalsze

trzy stopnie. Posiedzenie zagał sam prezydent-dyktator, mówca wprost świetny, tylko niekiedy przesadnie zwiezły, jakby dla przypomnienia słuchaczom, że połowę życia spędził w mundurze oficera, na dalekich rubieżach kraju, wciąż z bronią u nogi, wciąż na mule i że czuje się nim (oficerem, nie mulem!) nadal. Dzisiejsze przemówienie zaczęło się także w tym stylu:

— Panowie Ministrowie! Wezwałem was na naradę! Wybory na karku! Ich wynik przesądzi! Nas czeka marny los! Ten sam, jaki my ongiś zgotowaliśmy naszym poprzednikom! To znaczy, parę lat więzienia i żebraczy kij!

— Jakże to szczęście, że kary śmierci u nas niema — wtrącił z ulgą premier, starszy brat prezydenta. — Ale mów dalej, mów.

— Mówić, radzić, a także myśleć macie wy! Ja pragnę zaznaczyć jedno! Że grozi nam... to jest chciałem rzec: krajowi, wielkie niebezpieczeństwo! Rządy chce objąć wódz demokratów! Panowie, Salsaparilla *ante portas!*

— *Portas, portas* — poprawił go sędziwy stryj, minister oświaty i zaczął wyrwać sobie reszki włosów, gdy miodousty dalej masakrował łaciną:

— Panowie, upominam was nieśmiertelnymi słowy Homera: „*Kaweant konsulos, ne kwit depri mendí respublika kaput!*“ Do wyborów dopuścić nie możemy!

— *Purkua pa?* — zdziwił się minister spraw zagranicznych, najukochańszy z sióstrzeńców prezydenta; odkąd wysyłano go do Genewy, był wielkim znawcą stosunków europejskich i jeszcze większym ignorantem, gdy szło o zagadnienia wewnętrzne Plenagnany. — Że uzyskaliśmy zaledwie pięć procent głosów? Fraszka. W Europie, za wyjątkiem kilku państw, partje rządowe cieszą się *egzaktly* taką samą miłością obywateli, *kom nu*, a jednak *man-nami* Beniek e Dolfek e tutti frulli, którzy ich naśladowa, zgarniają wszystkie mandaty... Czy drogi wujaszek nie wie, jak się to urządza?

— Ja, nie wiem?! — oburzył się prezydent-dyktator. — Wiem i napewno tak samo, jak oni wyszedłbym z wyborczej urny, ale...

— Z urny, z urny! — jęczał minister oświaty.

— ...ale sęk w tem, iż według naszej konstytucji, której zgwałcić niestety nie zdołam, prezydentem republiki można być tylko raz.

— Więc zamień się ze mną — zaproponował mu kuzyn — ja zostanę głową państwa, a ty ministrem motoryzacji i zdrowia publicznego.

— Raczej ze mną się zamień, ze mną — wołali jedni przez drugich.

— Niema głupich! — odburknął dyktator.

— Najprościej byłoby zwać za granicę — rzekł jego młodszy brat, minister skarbu — i przyznam się, że ja tam już wysłałem swoje pieniądze.

— Ten się musiał obłowić! — westchnął zazdrośnie brat-premier.

— Ty, niby nie! Kradliśmy wszyscy i więcej, niż osławiony Juan Granda, który gnije w więzieniu.

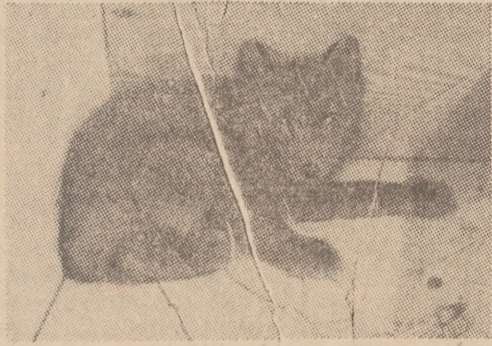
— Tak, ale my, jako dobrzy patrioci, lokowaliśmy to w kraju i tyłu nieruchomości sprzedać na poczekaniu nie zdołamy. Tyś był przy gotówce, więc...

Prezydent energicznie zadzwonił, przewał braterski spór, orzekł, iż wniosek ministra skarbu upadł i poprosił zebranych o inne projekty.

— Czy nie mógłbyś konstytucji chwilowo zawiesić na kołku? — zapytał go bratanek, minister poczt i dyliżansów. — Czy niema paragrafu, który...

ŚMIĘCH Z BŁĘDÓW JĘZYKOWYCH.

Otto objaśnił mi kiedyś, że dla podkreślenia wielkości czy ważności jakiegoś pojęcia, dodaje się końcówkę „*thlakak*“¹⁾ do



Niebieski lis wcisnął się w kąt paki i leżał bez ruchu niby kłębek burego puchu.

branego pod uwagę słowa. Istnieje pewna zasada, w myśl której tworzy się nowe wyrażenie. I tak na przykład: „*aiungilak*“ oznacza „dobrze“, „*aiungipethlakak*“ — „bardzo dobrze“. „*Neguak*“ — „silny“, „*neguethlakak*“ — „bardzo silny“.

Nie wytłumaczył mi tylko mój uprzedni nauczyciel, że ów dodatek „*thlakak*“ jest nader rzadko używany w mowie potocznej i zbyt silnie spełnia swoją rolę brzmiając przesadnie i nienaturalnie. Oznacza on w gruncie rzeczy mniej więcej: „*nadzwyczaj ogromnie*“, lub coś w tym rodzaju.

Zwróciłem się kiedyś do Willi'ego, któremu kapitalnie służyła nasza kuchnia, ze słowami: „*ilit pualauethlakak!*“ — „jesteś nadzwyczaj ogromnie gruby“. Nie miałem zamiaru przesadzać, lecz w swej nieświadomości użyłem określenia stanowczo niecodziennego. Wystarczyło to zupełnie, aby wszystkich sześciu naszych Grenlandczyków wprawić w nieopisaną radość. Natychmiast zaczęli wyszukiwać najrozmaitsze przymiotniki i czasowniki, któreby na „*thlakak*“ można zakończyć. Do ostatniego dnia naszej wyprawy o niczem nie wyrażali się już normalnie. Wszystko było „*ogromnie nadzwyczajnie*“.

Takie też były wielkie czerwone „*ujarkat*“ — kamienie, znalezione przez Freda

¹⁾ Słowa eskimoskie pisze tu tak, jak je słyszałem. Nie odpowiada to pisowni, wprowadzonej na Grenlandji przez Duńczyków.

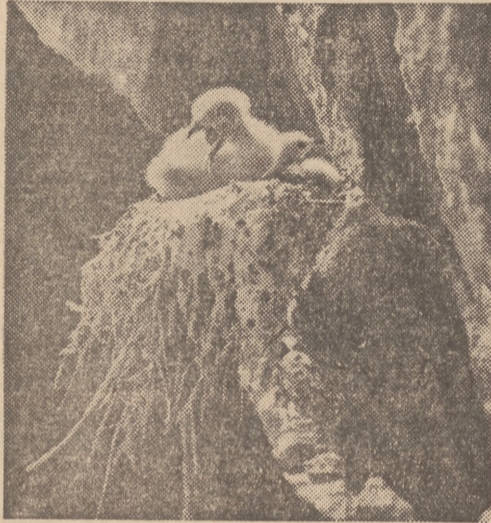


Autor reportażu p. St. Siedlecki przy sterze łodzi motorowej, należącej do polskiej ekspedycji naukowej na Grenlandję.

Jahna i przeze mnie w żyłe pegmatytowej, nad brzegiem morza, po drugiej stronie fjordu. Rzeczywiście, jak na kryształ granatów, były bardzo duże. W białej masie granitowej skały lśniły barwnie, niby skamieniałe krwawe ziarna grochu, owoce wiśni czy jabłka. Nie tak łatwo było je wydostać. Trzebaby mieć przynajmniej dobry młot do rozbijania głazów i „ogromnie nadzwyczajnie“ dużo czasu. To też w dniu, w którym odnaleźliśmy piękne minerały, ograniczyliśmy się tylko do wyluskania kilku najsłabiej uwieczonych okazów. Postanowiliśmy wrócić po dalsze kiedyindziej.

WYPRAWA PO GRANATY.

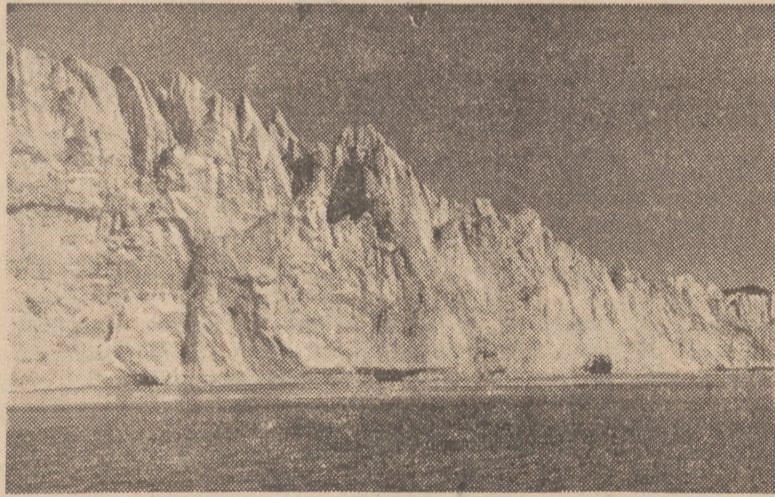
Pewnego razu Toma rzekł do mnie, patrząc na rogi renifera, wykopane przez dra Wilczka z pod kożucha tundry i wytopione z kleszczy wiecznie zamrożonej ziemi: „Te rogi są duże, ale po drugiej stronie fjordu, na jednym ze szczytów, leżą rogi o wiele, wiele większe. Dam ci je, jeżeli



Piskleta mewy trójpalczastej w gnieździe, na brzegu fjordu Arfersiorfik na Grenlandji.

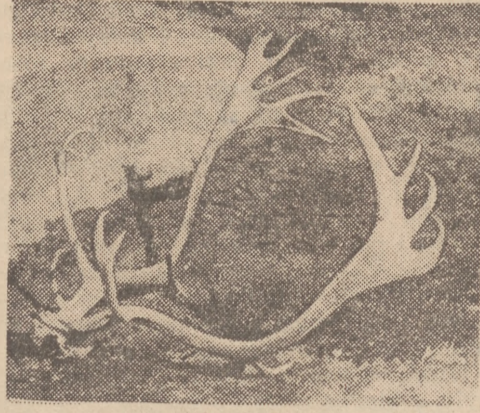
weźmiesz mnie na „*coś co robi dym*“ i pojedziesz tam“, to mówiąc, wskazywał w stronę zatoki, gdzie odnaleźliśmy granaty. Powiedziałem Tomasowi, że za dobre chęci sprawienia mi prezentu dostanie wełniane rękawice, a pojedziemy do przeciwległego brzegu, gdy naprawię „*coś co robi dym*“ i gdy obaj będziemy mieli czas. Postaramy się też wtedy wybrać kilka kamieni „ogromnie nadzwyczajnie“ pięknych.

Okazała nadarzyła się w jakiś czas potem. Docepiony do łodzi motor „Penta“, który dzielnie służył nam w ciągu całej wyprawy, naprawiłem bez większych kłopotów



...pojechaliśmy robić zdjęcia filmowe przed nadwodnym czołem lodowca Grenlandji.

i wybrałem się ku przeciwległemu brzegowi ze Stefanem, który przed czołem lodowca i w okolicy skał mewich nakreślał fra-



Rogi renifera grenlandzkiego, znalezione wśród mchów tundry.

gumenty filmu. Pojechał też z nami Toma i Gulu.

Była to pora poobiednia. Do obserwacji wieczornej miałem sześć godzin czasu. Instrumenty w stacji szły jak należy, a w pogodny dzień przekłete komary wypędzały nas z łądu na morze. Popłynęliśmy ku upatrzonej zatoce.

Prąd odpływu zaważył jej ujście lawą skruszonego lodu. Bloki bryły i białe słony sunęły wolniutko wzdłuż fjordu, oderwane od wspaniałych nadwodnych ścian lodowiska. Na „*małym gazie*“ przewijaliśmy się wśród tych pływających przeszkód, zastępujących łodzi drogę. Potem, w miejscu wskazanym przez Tome, wysadziliśmy go na brzeg.

Było to tak blisko skalnej żyły z granatami, że już nie opłacało się nam zapalać motoru, więc tylko przy pomocy wiosel przejechaliśmy kilkaset metrów dalej. Zakotwiczyliśmy „*pujok tulerak*“ tuż przy przybrzeżnych głazach i natychmiast z takim zapalem zaczęliśmy łupać naszpikowaną granatami skałę, że ktoś patrzący

z boku mógłby pomyśleć, że nie o zbiory nam idzie, lecz o zrównanie z morzem całej góry, w celu zdobycia złota.

Znajdowaliśmy się nad samymi falami morza. Tu wzdłuż linii wody ciągnął się długi na kilkaset metrów, wąski pas przybrzeżny, płaski, a zasypany drobnym gruzem i piaskiem. Bieg on niby uliczka pomiędzy fjordem a stromem, podmywanym przez przyprływy, urwistem zboczem.

Byliśmy nadzwyczajnie przejęci naszą czynnością. Rozbijana skała pryskała pod ciosami młotków, rosły obok układane kupki białego kamienia, zaczerwienionego granatami. Nie udawało się nam jednak wyluskać żadnego większego okazu. Już już niejednokrotnie wydawało się nam, że dobedziemy kryształ wielkości pięści, lecz ten przy ostatnich naszych zabiegach pryskał i pękał raptem, rozsypany się w czerwony kanciasty żwir drobnych zwietrzałych okruczków.



Dwaj Eskimosi, Toma i Jani zabawiali się często, tak jak nie bawiliby się żaden Europejczyk.

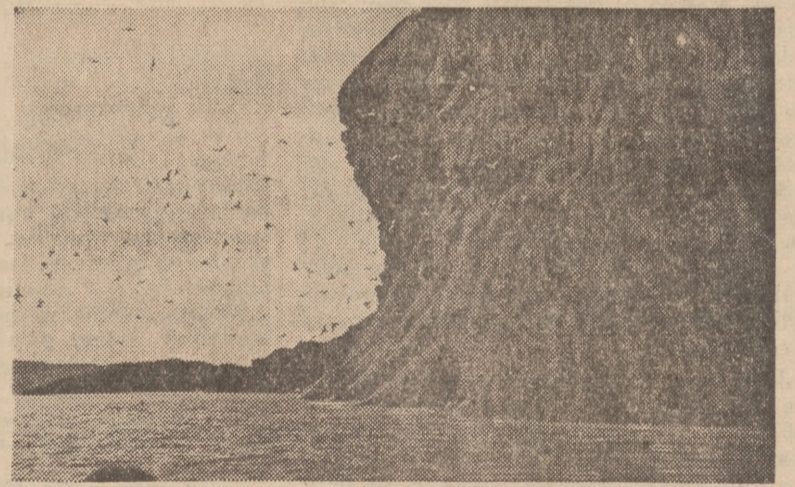
Polowanie na lisa.

Z KAMIENIAMI NA LISA.

Nie zwróciliśmy w pierwszej chwili uwagi, że wołania powracającego Tomasza. Zauważyliśmy go dopiero, gdy biegł ku nam wzdłuż owego płasko wymytego nadbrzeża. Przed nieustannie krzyżującym Eskimosem z wszystkich sił pomykało, niczem pocisk lecący nad samą ziemią, niewielkie zwierzątko, szaro-brunatnego koloru. *Niebieski lis* gnał w naszą stronę, zaślepiony w ucieczce przed nieznanym dotychczas niebezpieczeństwem. Spozregł

nas dopiero z odległości niewielu metrów.

Na równi z towarzyszącym nam Gulu, Stefan i ja porwaliśmy dopiero co z takim trudem wylupane odłamki skalne i, uzbrojeni w tę najprymitywniejszą broń pierwotnego człowieka, skoczyliśmy naprzeciw. Mordercze instynkty budzą się niekiedy w pozornie cywilizowanych ludziach najniespodziewaniej w świecie, zwykle wtedy, gdy błyskawiczny bieg wypadków nie pozwala na zastanawianie się nad własnymi czynami.



Mewie skały, ogniska życia tuż obok skraju wielkiej pustyni lodowej.

— Jest! — wtrącił minister sprawiedliwości, wuj prezydenta. — Jest maleńki paragrafik w konstytucyjce, który powiada, że jeśli w kraiku są awanturki, rozruchy, wolno prezydentowi wybory odwołać o rok. Ale z tego paragrafiku robiliśmy użyteczek już raz.

— *Repeticio jest mater stultorum* i bez wahania znowu przydłużyłbym urzędowanie sobie i wam, ale brak mi pretekstu do zawieszenia swobod obywatelskich. Jak na złość, nie mamy ani wojny, ani strajków, ani tak częstych po imne lata buntów tego, czy innego garnizonu... Słowem, błędne kolo, z którego ja nie widzę żadnego wyjścia... Lecz może który z was...?

Głuche milczenie zebranych było najmowniejszą odpowiedzią, najdobitniejszym potwierdzeniem beznadziejności położenia. Wtem, ku ogólnemu zdziwieniu, podniósł dwapalce do góry zaprzysiężony mruk, prezes izby deputowanych, a zarazem szwagier prezydenta i niby tylko z racji tego powimowactwa biorący udział we wszystkich posiedzeniach gabinetu.

— Udzielam głosu przedstawicielowi naszego parlamentu — rzekł prezydent uroczyście i w duchu przyznał szwagrowi podwyżkę pensji.

— Wniosek nagły! — zaczął nowy mówca. — Wściec się tu można z gorąca, pro-

szę więc o mazagran, albo o jakie lody dla wszystkich.

Wniosek przeszedł jednogłośnie, lecz wnioskodawca otrzymał surową naganą od prezydenta, który potem znowu jął wzdychać żałośnie:

— Ani wojny... ani rozruchów... ani choć małej rewolucyjki...

— Niestety, nie z tego nie mamy — przyznał jego zięć, minister spraw wewnętrznych, który przed swym korzystnym ożenkiem posiadał w stolicy kabaret — lecz dobry kupiec powinien mieć na składzie to, czego klientela żąda w danym momencie. Seniores chcą blondynek? Tłeni się brunetki i już są blondaski. Seniory chcą kokainy? Posyła się po... — Zamast brodzić we wspomnieniach — przerwał mu prezydent — daj rodzinie jaką mądrą radę, przecież głowę masz z nas najlepszą.

— Właśnie chcę wam dać radę... Seniores chcą rewolucji? Ano, to dyskretnie wywołamy ją sami, co ułatwi jej stłumienie i...

— Świetna myśl! — zawołał minister wojny, drugi syn prezydenta. — I podejmuje się spowodować pucz znacznie efektywniejszy, niż ten, który niedawno był w Paragwaju. W ciągu dziesięciu dni!

— Nie dotrzyma obietnicy mimo najszczer-

szych swych chęci. Nie nie pomogło to, że bardzo krewkiego generała mianował zastępcą majora, gdyż ów z miejsca zakochał się w pannie generalównie i przyszyteść robił z nim, co chciał. Nie nie pomogło nawet to, że pułk huzarów przeniósł z kresów zachodnich na wschodnie, a stacjonowany tam pułk dragonów na zachodnie; zamiast upragnionej wieści o buncie tych oddziałów, otrzymał lakoniczne dwa raporty, że rozkaz wykonano. Wykonano tak, że wszyscy żołnierze i oficerowie pozostali na dawnych miejscach, przy swoich żonach, narzeczonych, przyjaciółkach i dzieciach, a zmienili się nawzajem tylko pułkownicy oraz portki, gdyż reszta umundurowania była jednakowa; zamiast do eks-dragonów nadeszły czerwone spodnie huzarskie, a do eks-huzarów fioletowe spodnie dragonie, obydwie pułki musiały siedzieć cicho w koszarach, no, bo nie wypadało paradować bez tej ważnej części garderoby, lecz dobrowolny areszt domowy osłodziły pieniądze, przysłane ze stolicy na koszty translokacji pułków i sprawiedliwie rozdzielone między wszystkich jej niedoszłych uczestników.

W ten sposób załatwiało się zawsze translokacje oddziałów wojskowych w Plena-

guana i w paru innych republikach amerykańskiego kontynentu; raz nawet zdarzyło się tak fatalnie, że obydwaj dowódcy pułków uciekli za granicę z całym umundurowaniem, które tam sprzedali, a biedni żołnierze przez dwa miesiące musieli walczyć w bieliznie, gdyż akurat wybuchło w kraju powstanie. Ale skąd o tych sprawach mógł wiedzieć taki laik, jak minister wojny?!

Minister wojny, po kilku nieudanych próbach wywołania rokoszu, zaproponował coś innego; ot możnaby wysłać ostre ultimatum Brazylii, która przecież od lat udzielała gościny seniorowi Salsaparilla i wielu jego stronnikom. Pretekst był więc znakomity, lecz losy wojny z obrzymiem mocarstwem tak niepewne, lub raczej tak nieprzewidywalne, że projekt upadł od razu. Wówczas rząd republiki Plenaguana zrezygnował z pomocy wojska i wśród cywilów zaczął szukać kandydatów na rebeliantów, co również następczo było trudności. Bo na przykład nie posiadał już kraj faszystów, ani komunistów; pierwsi, nie dostawszy obiecanej z Włoch subwencji, sami rozwiązali swe młode stronnictwo, drugich, choć kara śmierci została w Plenaguanie zniesiona, wytepił doszczę-

Lisek skreślił. Zatrzymał się w swym szalonym biegu i rzucił, że jest w pułapce między ludźmi, morzem i urwiskiem, skoczy w tył, pedząc zpowrotem na Tomasa. Ten cisnął posiadaniem kamieniami, lecz chybił. Lis śmignął koło niego i przepadł między olbrzymimi blokami skalnymi.

Zadzyszani staliśmy nad jego kryjówką. Wtedy dopiero Eskimosi przypomnieli sobie, że teraz jest czas ochronny dla lisów i Duńczycy nakładają karę 25-ciu koron za ich zabijanie. Suma taka to prawdziwy majątek dla niemal nie znających pieniędzy tubylców. Pierwsza gorączka łowów minęła, jednak zarówno Toma jak Gulu wykazywali ogromne podniecenie.

REKĄ LIS UJĘTY.

Toma kręci się dokoła głazów i raptem staje. „Ja jestem myślący ogromnie doskonały. Upolowałem dużo, dużo lisów. Czy mam upolować i tego?”

— Upoluj i tego — mówimy — tylko go nie zabij.

Nie znając słowa, oznaczającego zabicie, składam wskazujące palce na krzyż, aby jakoś wyrazić pojęcie śmierci. Toma jest domyślny. Schyla się popod skały, wciska prawe ramię gdzieś w podziemne labirynty, poczem zrywa się szybko. Trzyma teraz w ręku tylną nogą puszystego, pięknego zwierzątka.

Lisek, mimo, że zwisa głową na dół, usiłuje walczyć. Skreca się, szarpie w gwałtownych podrzutach, kłapie zębami koło przegubu nienawistnej ręki, skrzecząc przytem przeraźliwie. Jest zupełnie obłąkany ze strachu i z wściekłości. Można go podziwiać. Przecież żaden człowiek, złapany za nogę i zawieszony głową na dół, przez proporcjonalnie olbrzymiego potwora, nie walczyłby w podobnej sytuacji tak, jak ten w djabła przemieniony lis.

Toma jest zato szalenie uradowany. Nie znajduje wprost słów pochwały dla samego siebie. Jak tylko może, tak wyzyskuje okazję, aby nazwać siebie myśliwym najlepszym, najzgrabniejszym, najodważniejszym i wogóle naj... naj...

Przyglądamy się zwierzątku. Jest to przedstawiciel nader interesującego rodzaju, choćby dlatego, że *lisy niebieskie* pochodzą zwykle z tego samego gniazda i z tej samej matki, która wydaje na świat także i *białe* potomstwo. Jeżeli jednak w hodowlach sztucznych odpowiednio dobierze się parę zwierząt niebieskich, to ich potomstwo podobne jest już zawsze do rodziców. Lis jest niezbyt wielki. Mniejszy nieco od swych rudych kuzynów, żyjących w Polsce. Mimo, że ma obecnie futerko letnie, nie brak mu miękkości i puszystości włosa, którego brunatno-szarawa barwa ma niezwykle mało do czynienia z niebieskim kolorem. Żółta, do kocich podobna, oczy patrzy na nas z takim samym zainteresowaniem, jak my na tę Tomasową zdobycz, która z pewnością widzi człowieka po raz pierwszy w życiu.

LIS W PACE.

Wracamy do łodzi, która wskutek odpływu lekko osiadła na dnie. Tu Toma wyciął kawałek linki z wędki, używanej do połowu dorsza i sprawnie skrepował lisa, wiążąc mu waleczny pysk i skłonne do ucieczki nogi. Część sznurka, niby smycz, owiązał dookoła szyi więźnia. Cieszy się ogromnie, bo postanowiliśmy zabrać zwierzę do bazy. Tam jutro, przy słońcu, Stefan robi zdjęcia filmowe z lisem i z Tomaszem, który jest wprost nieopisanie świetnym łowcą.

W naszym głównym obozie dopiero zaczęły się kłopoty. Co zrobić z nowym, nieoczekiwanym członkiem wyprawy? Trzeba mu zapewnić mieszkanie i żywność, a także zabezpieczyć go przed bardzo niebezpiecznymi żartami Eskimosów. Ci bowiem, o ile do ludzi odnoszą się zawsze bardzo

przyjaźnie, o tyle w każdym zwierzęciu widzą jedynie istotę, którą należy *usmiercić natychmiast* i to możliwie *jak najdowcipniej*.

Gdy minęły pierwsze chwile wszechstronnego oglądania coraz więcej wystraszonego zwierzątka, postanowiliśmy jedynie na jedną noc ulokować go w dużej skrzyni, a nazajutrz wypuścić na wolność.

Mieszkanie dostał lis wspianale. Była to wielka paka, przykryta wiekiem, które Eskimosi dopasowali z ogromną starannością i jeszcze dodatkowo obciążyli. Twierdzili przytem, że lis jest niezwykle silny i wyzyska każdą najmniejszą szparę wśród desek, aby ją powiększyć zębami i uciec. Do wnętrza drewnianego pudła wrzuciliśmy nieco wełny drzewnej, poczem kazaliśmy Tomasowi rozwinąć sznur, krepujący zwierzęciu trójkątny pyszczyk.

Wojowniczość więźnia znikła. Stworzonko skuliło się w kącie paki cichutko i leżało bez ruchu, niby kłębek ziewnego burego puchu, z którego wyglądały jedynie wielkie błyszczące kółka, szeroko rozwartych złotych oczu. Stefan wrzucił do skrzyni kawałek siekanego, konserwowego mięsa. Narazie lis nie zareagował na to wcale.

LIS POD SZTANDAREM.

O 9-tej wieczorem, gdy Eskimosi zbierali się już do snu i w bazie zapanował

spokój, wykonałem normalną obserwację meteorologiczną i wracałem do namiotu, pogwizdując sobie wesoło. Gdy zstępowałem z pochyłej płyty skalnej, wyglądzonej ongiś przez lodowce, a znajdującej się tuż przed wejściem do naszego półkolistego, gumowego mieszkania, zauważyłem gwałtowny ruch w namiocie Eskimosów. Wsunęła się zeń wieczną zmierzwią głowa, a w moment potem cała nieco karykaturalna postać Janiego. Eskimos biegł ku mnie, stając na bosych palcach i jedną ręką podciągając niesforne, grubo za duże spodnie. Dłoń drugiej ręki przyłożył do ust i robił ruchy takie, jakby chciał mnie uciszyć i zatrzymać. Podbiegł bliżej i zaczął szeptać, zadyszany z pośpiechu:

— Stasak! Stasak! Paralungu, ciraniak sinnipok! — Ostrożnie Staszek, lisek śpi!

Pojawił się i Toma, również w stroju niekompletnym.

— Lisek śpi! Śpi bardzo nadzwyczajnie. — *Sinnipethlakak!*

Jani cichutko zagląda pod wieko skrzyni, przeczem krzywi się straszliwie, starając się dalej grać komedię i dusząc śmiech, bowiem żywe futerko wcale nie śpi, lecz tylko jak skamieniałe patrzy na niepokojących go ludzi. Potem Jani, ciągle śląc się na zachowanie możliwie jak najdelikatniejsze, bierze zapasowy kij od namiotu, przyczepia do niego kawał po-

strzępionego a brudnego papirusu i wbija tę dziwną flagę przed skrzynią.

— Co to jest, Jani!

— To jest „*appalotok*“, sztandar. Wy macie „*appalotok*“ przed mieszkaniem — mówi — to i lisek musi go mieć.

Tego wieczora, namawiani przez „dorośle dzieci“, zachowywaliśmy się cicho. Za to wczesnym rankiem Eskimosi zbiegli się dookoła lisej klatki i wśród śmiechu i krzyku uderzali pięściami i kopali w grube, donośnie bębniące, deski, wołając:

— Ciraniak sinni namik!! — Lisiku, nie śpij!!

LIS ODZYSKUJE WOLNOŚĆ.

Gdy Stefan przygotował aparat filmowy, Toma pochwylił zwierzątko w rękę, a potem wśród trzasku migawek postawił je na ziemi i puścił. „*Ciraniak*“ stanął na mgnienie oka, zdumiony i oszołomiony, poczem wywinął się z kręgu ludzi i jak szalony zaczął gnać poprzez skały i mchy, otaczając bazę.

Teraz dopiero Eskimosi pojęli, że wyrwała się im cało już raz pojmana istota żywa. Porwali za kamienie i pogonili za zwierzątkiem, które jednak przepadło raz na zawsze

Dr STANISŁAW JANIK (Kraków).

Bieg okrężny węgla.

W PRZYRODZIE NIC NIE GINIE.

Jest to stara i ogólnie znana prawda. Nie ginie, ale ulega ciągłym przemianom fizycznym i chemicznym, zmienia stan skupienia, wchodzi w skład raz tego, raz innego ciała. Zjawiska te mogą (oczywiście ściśle według praw przyrody) po pewnym czasie *powtarzać się*, tworząc w ten sposób zamknięte *cykle*. Wielu uczonych na podstawie znajomości przyrody i jej praw badało pod względem jakościowym i ilościowym owo *krążenie* dla różnych *pierwiastków*. W artykule niniejszym naszkicuję *krążenie węgla w przyrodzie*, jednego z najważniejszych pierwiastków w ogólności, a podstawowego dla świata organicznego w szczególności.

Jak widać z załączonego schematu, istnieją w przyrodzie

TRZY GŁÓWNE ZBIORNIKI

węgla jako takiego, względnie jego połączeń z innymi pierwiastkami, a to: węgla jako takiego, względnie jego połączeń z innymi pierwiastkami, a to: *atmosfera i hydrosfera*, dalej *biosfera* i w końcu *litosfera*. Pomiędzy temi „zbiornikami“ następuje ustawiczna *wymiana*, jak to zaznaczono strzałkami. Spróbujmy obliczyć ilości węgla, zawartego w poszczególnych zbiornikach. Głównym zbiornikiem jest

LITOSFERA,

gdzie węgiel przeważnie jest związany w postaci wapienia i dolomitu. W przeliczeniu na *dwutlenek węgla* złoża te zawierają zgórą 6,5 kg CO₂ na 1 cm² powierzchni ziemi (pow. ziemi = 5,1 × 10¹⁸ cm²). Do litosfery zaliczamy także *węgiel kopalny*, w skład którego wchodzi: złoża węgla kamiennego i brunatnego, ropa naftowa, gaz ziemny i wosk ziemny oraz twory bitumiczne. Cechą charakterystyczną dla węgla kopalnego jest to, że występuje on w postaci nieutlenionej, a zatem dopiero przez *spalenie* może być przeprowadzony w dwutlenek węgla. Węgiel kopalny został utworzony z CO₂ zawartego w atmosferze, a przerobionego przez *biosferę* zapomocą

przyswajania węgla przez *procesy fotosyntetyczne*.

Niektórzy obliczają

ZAPASY WĘGLA

na całym świecie na około 3000 biljonów kg, co odpowiada około 8000 biljonów kg dwutlenku węgla, czyli około 4 razy więcej, niż całkowita zawartość CO₂ w atmosferze. Ilości węgla zawartego

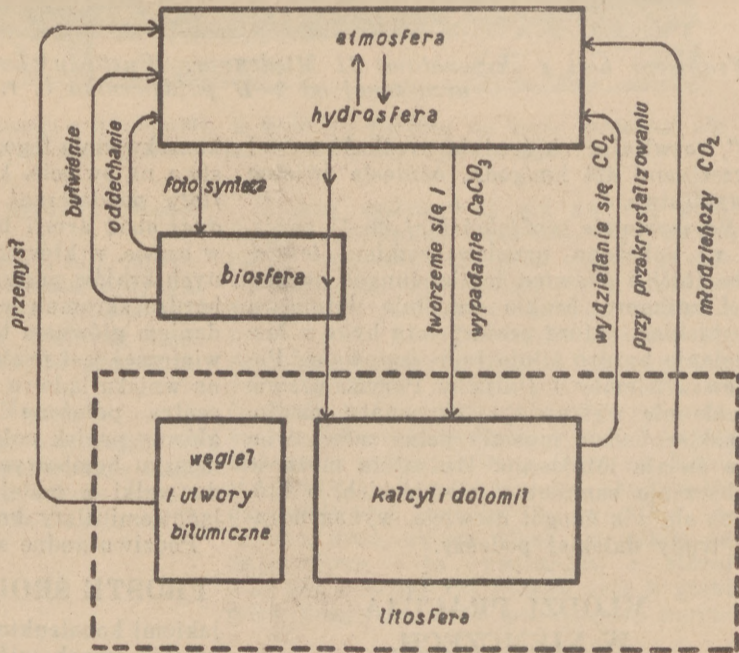
W BIOSFERZE

są trudne do ustalenia, jako ulegające ciągłym zmianom. Próbowano ustalić liczbę ilości CO₂, podlegającego rocznie przyswojeniu przez rośliny na podstawie rocznego *przyrostu* roślinności. Okazało się, że przyrost ten odpowiada mniej więcej zużyciu około 1/10 ilości dwutlenku węgla zawartego w atmosferze na jednostkę powierzchni. Pobrane z atmosfery ilości CO₂ zostają wyrównane głównie przez procesy *oddychania* i *butwienia*. Jeżeli się tutaj uwzględni jeszcze przyrost *planktonu roślinnego* w morzach i oceanach, odbywającego się również kosztem dwutlenku węgla atmosferycznego, to okaże się, że ilości CO₂ przyswajanego rocznie przez świat roślinny są bliskie całkowitej ilości CO₂ zawartego w atmosferze.

Trzecim wreszcie dużym zbiornikiem połączenia węgla jest

ATMOSFERA I HYDROSFERA,

zawierające dwutlenek węgla. Ilości CO₂ zawartego w atmosferze są zmienne i wynoszą około 0,4 gr. na 1 cm² pow. ziemi. Powietrze nad miastami i ośrodkami przemysłowymi, fabrycznymi zawiera więcej CO₂, okazało się jednak, że szczególnie powietrze okolic *Greenlandii* obfituje w dwutlenek węgla. Znacznie większe ilości CO₂ zawarte są w *hydrosferze*, bo około 27 razy więcej niż w atmosferze, czyli około 0,05 gr.



Schemat obiegu węgla w przyrodzie.

tnie minister spraw wewnętrznych, przechrta *plus catolique que le pape*.

— A mówiłem ci, ośle, żebyś ich parę tuzinów zostawił na rozpoledek, — powtarzał obecnie prezydent coraz częściej, patrząc z wyrzutem na zięcia, pogromcę czerwonych. — Ach, jak byłoby się nam dzisiaj przydał! I kto teraz urządzi chociażby małe rozruchy, kto?!

Nie było takich amatorów ani na lekarstwo, głównie zpowodu szalonych upałów. To znaczy, owszem; studenci godzili się zdemolować to i owo, lecz dopiero po zakończeniu karnawału. Dobry sobie! Sroda popielcowa za sześć tygodni, a wybory za trzy! Świadomość zbliżającej się nieuchronnie katastrofy podziałała tak depresyjną na plenaguanńskich dygnitarzy, że za przykładem ostrożnego ministra skarbu zaczęli cicho wyjeżdżać za granicę „dla poratowania zdrowia“, jak dwuznacznie pisano w gazetach opozycyjnych. Gdy prezydent zwołał znowu radę rodzinną t. j. radę ministrów, stwierdził, iż w kraju pozostało już tylko dwóch jej członków, a jeden z nich, minister sprawiedliwości, przyszedł pożegnać się właśnie.

— Wszyscyścieńko stracone, — rzekł, — ale dla przysporzenia kłopotów naszym następcom wartoby, sądzię, wypuścić z kryminaliku moich pupilków, he?

— Nareszcie! — wrzasnął minister spraw wewnętrznych, olśniony genialnym pomysłem i radośnie klepnął drapiącą się po głowie głowę państwa. — Nareszcie mamy wymarzonego rebeljantów!... Tylko ilu ich jest naprawdę?

Odsiadujących karę przestępów kryminalnych obliczano teoretycznie na 8.000, za tyłu przynajmniej płacił skarb państwa, ponoszący koszt ich utrzymania. De facto liczba ta była 8 razy niższa a prezydent-dyktator natychmiast polecił zięciowi ściągnąć z arsenału tysiąc nowych karabinów i miljon ładunków, oczywiście ślepych. Wyłoniła się tylko trudność, kto więźniów zrewoltuje.

— Ja nie, — zastrzegł się minister sprawiedliwości; — mnie ufać nie będą, a choćbym się przebrał nie wiem jak, poznają po brodaweczce na nosku.

— Ani ja, — zawtórował mu minister spraw wewnętrznych, — bo ja będę tłumić te rozruchy, przecież to moja resortowa specjalność.

— Tehorze z was, aż wstyd, — zganił ich prezydent. — Na szczęście znam człowieka, który dla dobra ojczyzny nie cofnie się przed niczem! Panowie, zamykam posiedzenie i termin wybuchu rewolucji, który da mi pretekst do odroczenia wyborów, na-

znaczam na sobotę wieczór! Tak, wieczór będzie chłodniej.

Rewolucja wybuchła z punktualnością nieosiągalną dla pospiesznych pociągów plenaguanńskich. Strzelanina była pierwszej klasy, lecz ślepe naboje nie krzywdziły nawet szyb. Dlatego minister spraw wewnętrznych, siedzący w obłożonych koszarach policji, wyszedł odważnie na oszkloną werandę i patrzył na spożywający masowo lody przed kawiarnią sztab rebeljantów. Dowodził nimi jakiś brodacz w ciemnych okularach i czarnej pelerynie z kapturem, a jego adiutantem (brodacza!) był popularny opryszek Juan Granda, niedawno skazany na 40 lat więzienia. Granda, otrzymawszy zapewne jakiś rozkaz, oddalił się szybko, zabierając ze sobą przeszło połowę oblegających. Zrobił to bardzo dyskretnie, lecz minister miał dobry wzrok i uznał, iż moment do rozpoczęcia kontrofensywy już nadszedł. Z potężnym wrzaskiem wypadł obłąkany z koszar, a minister osobiście rzucił się w pościg za brodaczem, wydającym obelżywe antyrządowe okrzyki. Dopadł go dopiero w parku miejskim, przewrócił, poturbował, ucziwił i zdębiał, gdy niechętnie oderwał mu przylepioną brodę; to był jego teść, prezydent-dyktator!

Przeprosiny dobiegały końca, kiedy huknęła donośna salwa, po której rozpętało

się niezgorsze piekło. Dwaj dygnitarze, trochę zaniepokojeni, wybiegli z parku i stwierdzili ze zdziwieniem, że chodniki ulic zasypane są stłuczonym szkłem, że okna domów mają szyby wybite. Ślepami ładunkami?!

— Teraz mamy już dobrą amunicję, — zabrzmiął znajomy głos obok.

Obejrżeli się wstecz. Za nimi stał Juan Granda w admirańskim mundurze i otoczony gromadą kolegów po fachu, również wspianale wygalowanych.

Szukamy panów od dawna, — ciągnął dalej admirań-opryszek, złożwszy przesadnie niski ukłon dyktatorowi i jego zięciowi, — żeby ich jak najprędzej odprowadzić w triumfie do... więzienia. Och, nie na długo, — dodał pocieszająco, widząc jak pobledli. — Na pewno panów wypuszczą i może poproszę o urządzenie jakiej rewolucyjki... oczywiście nie tak skutecznej, jak nasza, kiedy...

— Kiedy? — powtórzyli razem obydwa. — Kiedy będzie się kończyła moja kadencja, jako prezydenta republiki Plenaguna, czyli, według konstytucji, już za osiem lat.

Na „S. S. Pulaskim“ w drodze powrotnej z Ameryki Połudn.

CO₂ w litrze wody morskiej. Objętość mórz i oceanów wynosi około 1,37×10²⁴ cm³.

Pomiędzy atmosferą i hydrosferą ustaliła się pod względem zawartości dwutlenku węgla pewna równowaga. Jeżeli n. p. w atmosferze nagromadzi się nadmierna ilość CO₂, to spora część tego nadmiaru zostaje pochłonięta przez hydrosferę i odwrotnie, jeżeli w atmosferze zostanie zbyt mało zużyty CO₂, względnie ilość jego w hydrosferze przez działanie wulkanów podmorskich *zbyt* wzrosnie, to wówczas CO₂ częściowo z wody morskiej wydziela się w powietrze.

Możemy obecnie postawić sobie pytanie: jakie ilości węgla w przeliczeniu na dwutlenek węgla biorą udział w krążeniu? Musimy zsumować następujące liczby, przypadające na 1 cm² pow. ziemi: węglany osadowe 6,562 kg. CO₂, węgiel kopalny i biosfera 0,67, a najwyżej 3,1 kg. CO₂, w atmosferze 0,0004 kg. CO₂, w wodzie morskiej 0,020 kg. CO₂. Wynosi to razem 7,3—9,7 kg. CO₂ na 1 cm² powierzchni ziemi. Dwutlenek węgla dostaje się

DO ATMOSFERY

różnymi drogami. Spore ilości t. zw. „młodzieńczego“ CO₂ wydobywają się z wulkanów również i podmorskich. Jeżeli osadowe węglany skutkiem ruchów górotwórczych skorupy ziemskiej obniżą się w strefie wysokiej temperatury, następuje ich rozkład z wydzieleniem się CO₂, również jeżeli w pewnych warunkach zostaną one zamienione na krzemiany. Niemalą rolę odgrywają też w zasilaniu atmosfery dwutlenkiem węgla źródła gorące. Oprócz procesu *butwienia* wielkie ilości CO₂ uwalniają się przy spalaniu węgla i drzewa. Na podstawie światowego wydobycia węgla można obliczyć powstałe tą drogą ilości CO₂. Roczne wydobycie węgla wynosi około 1400 milionów ton węgla i około 200 milionów ton ropy naftowej, co odpowiada około 4,5×10¹⁰ ton CO₂. Jest to znacznie więcej niż przeciętny roczny dowóz młodzieńczego CO₂ do atmosfery. Należy tu oczywiście dodać jeszcze dwutlenek węgla, powstały ze spalania drzewa i torfu. Znaczne ilości drzewa zostają jednakże zużyte do budowy względnie wyrobu mebli, skutkiem czego na pewien okres czasu zostają usunięte z krążenia węgla. Spróbujmy określić obecnie ilości CO₂ powstałe przez

ODDECHANIE LUDZI I ZWIERZĄT.

Człowiek w stanie spoczynku wydycha rocznie mniej więcej 3-krotną ilość wagi swego ciała. Przy pracy fizycznej lub umysłowej ilość wydychanego CO₂ odpowiada około 5-ciokrotnej wadze człowieka. Jeżeli teraz przyjmijemy przeciętną wagę człowieka około 60 kg., to okaże się, że ludzkość wydycha rocznie około 0,45 bilionów kg. CO₂, co odpowiada ok. 0,02% ilości CO₂ zawartego w atmosferze, a około 1% rocznie zużywanego przez rośliny dwutlenku węgla. Zwierzęta i ptaki wydychają większe ilości CO₂ niż człowiek. I tak koń (w spoczynku) wydycha ilość odpowiadającą 4-krotnemu swojemu ciężarowi, cielę, owca, koza, świnia około 6-krotnie więcej od wagi swego ciała, pies, kot ok. 9,5 × swój ciężar, słowik ok. 94,5 × swój ciężar (!). Zimnokrwiste zwierzęta oddychają mniej intensywnie. Owady i robaki wydychają rocznie ilości CO₂ odpowiadające około 4—9-krotnej wadze swego ciała. Produkcja CO₂ spowodowana oddychaniem świata zwierzęcego jest prawdopodobnie większa od ilości dwutlenku węgla wydychanego przez ludzkość, niemniej jednakże całkowite ilości dwutlenku węgla, będące skutkiem oddychania ludzi i zwierząt są o wiele mniejsze od ilości zużywanych rocznie przez świat rośliny.

Zastanówmy się obecnie, czy jest jakiś związek lub wpływ zawartości CO₂ na

ZMIANY KLIMATU.

Istotnie, zdaniem niektórych badaczy zmienna zawartość dwutlenku węgla w atmosferze była przyczyną znanych silnych zmian klimatycznych na ziemi w minionych epokach geologicznych, jak np. epoka karbonu, w której głównie powstały obecne złoża węglowe, oraz kilkakrotnie po sobie następujące epoki lodowe. Epoka karbonu była epoką tropikalnego wzrostu roślin w pasie daleko szerszym niż to jest obecnie, przyczem atmosfera w tej epoce zawierała około 5 razy więcej CO₂ niż obecnie. W następujących zaś kilkakrotnie po sobie epokach lodowych skutkiem zmniejszonej ilości dwutlenku węgla w atmosferze cała prawie Europa pokrywała się na przeciąg bardzo wielu lat grubym pancerzem lodolodu, jaki dziś znamy jedynie w okolicach podbiegunowych. Na tym tle staje się specjalnie interesującym fakt doprowadzania do atmosfery CO₂, spowodowany przemysłowymi czynnościami ludzkości, jak spalanie węgla, drzewa, torfu, przetworów ropy naftowej, wyrób cementu i t. d. co, jak zaznaczyłem wyżej, wynosi o wiele więcej niż dopływ młodzieńczego CO₂ do atmosfery. Jak obliczono, przy ta-

kim temple spalania, za mniej więcej 300 lat ilość dwutlenku węgla zawartego w atmosferze wzrosnie dwukrotnie. Oczywiście, spodziewać się należy, że przyrost

ten zostanie w przeważnej ilości pochłonięty przez morza i oceany.

O ile obliczenia i rozważania powyższe są słuszne, można przewidzieć, że na prze-

strzeni najbliższych wieków nie zagraża ludzkości nowa epoka lodowa, raczej przeciwnie, oczekiwać należy wzrostu temperatury.

G. A. MOKRZYCKI, prof. Politechniki Warszawskiej.

Refleksje na temat II Międzynarodowej Wystawy Lotniczej w Medjolanie.

ITALJA I NIEMCY PRZODUJĄ.

Wzorując się na urządzonych co dwa lata wystawach lotniczych w Paryżu, urządza Italja obecnie podobne wystawy u siebie tak, że salon paryski i medyolański oddziela od siebie odstęp jednego roku.

Ambicja ta jest w pełni usprawiedliwiona, jeżeli uprzytomimy sobie, że w latach ostatnich lotnictwo Italji porobiło takie postępy, że obok lotnictwa USA, Anglii i Niemiec, wybiło się na pierwszy plan, dystansując lotnictwo francuskie. Nie tylko wspaniałe instytuty badawcze, poświęcone lotnictwu, nie tylko budowane od lat prototypy i samoloty rekordowe, które swymi wyczynami zdumiewały świat lotniczy, nie tylko ilość rekordów światowych są tego dowodem. Ale i jakoś sprzętu seryjnego, tj. pełniącego służbę codzienną w setkach samolotów, okazuje poziom bardzo wysoki, jak tego mieliśmy dowód w zwycięstwie w tegorocznym wyścigu międzynarodowym na trasie Istres-Damaszek-Paryż (ok. 6200 km), w którym Italja na seryjnych samolotach „Savoia

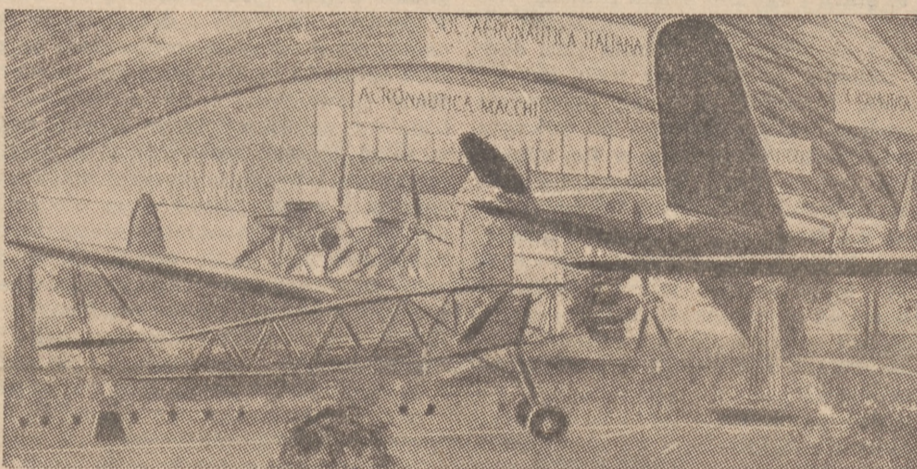
działniejszych, możemy sobie wyobrazić, jak ożywczo na rutynę i organizację przemysłu niemieckiego musi wpływać dynamika i entuzjazm twórczy, będący przywilejem młodych.

PODOBNIENIE W ITALJI.

I w Italji warunki pracy świata technicznego są w lotnictwie podobne. Mussolini, będąc sam lotnikiem i pilotem, ma pełne zrozumienie dla spraw lotnictwa i dba o jego spontaniczną rozbudowę. W mowach swych często wysławia romantyzm latania i oderwania się od ziemi. Jakże zazdrościć musimy krajom, w którym najwyżsi dostojnicy, są sami lotnikami i dla których skutkiem tego lotnictwo jest oczkiem w głowie. Wyniki mówią same za siebie, lotnictwo tych państw w niepomysłnych nawet warunkach, wnosi się, do wyżyn finansowych zdumiewających.

TYLKO DUŻE SAMOLOTY.

Italja nastawiła swe lotnictwo przede wszystkim na samoloty duże. Jest to



Fragment hali z eksponatami II Międzynar. Wystawy Lotniczej w Medjolanie, urządzonej od 2—17 października b. r.

79^o, rozwijających średnią prędkość na tej przestrzeni 423 km/godz., odniosła świetne zwycięstwo.

Na wystawie medyolańskiej (2—17 paźdz. b. r.) pokazano przede wszystkim lotnictwo Italji i Niemiec. Udział innych państw był znikomy, brakło zupełnie lotnictwa rosyjskiego, które przed 2 lata było w Medjolanie bardzo silnie reprezentowane. Ponieważ Niemcy i Italja w Paryżu prawie wcale nie wystawiają, eksponaty medyolańskie obudzić musiały pełne zaciekawienie świata lotniczego. Zwłaszcza możliwość zobaczenia samolotów niemieckich, o których się wie naogół niewiele, wynagradzały trudy dalekiej podróży.

MŁODZI PRACUJĄ W NIEMCZECH.

Jakkolwiek czasy, w których każde państwo z dumą pokazywało wszystkie najnowsze zdobycze swego lotnictwa, jak to było w pierwszych latach powojennych, należą do przeszłości, i dziś najwspanialsze samoloty otacza tajemnica wojskowa, musimy zauważyć, że to, co pokazały Niemcy, było imponujące. Cała gama płatowców cywilnych i wojskowych, małych i dużych, ich opracowanie aerodynamiczne, stojące na najwyższym osiągalnym poziomie, wykończenie warsztatowe i tysiące szczegółów, których tu jako nieinteresujących laika omawiać nie możemy, napelnia widza podziwem i zazdrością. Widać, że to jest kraj, w którym każdy, kto chce pracować, jest do pracy dopuszczany, że mu w tej pracy pomagają, że rozumieją, że nie każdy prototyp musi się konstruktorowi udać, gdyż technika lotnicza jest dziedziną zbyt młodą, aby tak być mogło. Nie udało się prototyp inż. X dziś, nie szkodzi. dadzą mu sposobność poprawić swą pracę jutro i pojutrze tak, że wreszcie każdy naogół dochodzi do wyników świetnych, co leży oczywiście w interesie państwa. W ten sposób nie marnuje się żaden wysiłek twórczy, w ten sposób, każdy, należący do technicznego świata lotniczego jest zaprzęgnięty do służby wielkiej sprawy. Jeżeli nadto uzmysłowimy sobie, że w lotnictwie niemieckim położono szczególny nacisk na dopuszczanie ludzi zupełnie młodych do prac nawet najodpowie-

konsekwencją tego, że było to pierwsze państwo na świecie, które postawiło doktrynę floty powietrznej, jako armii równorzędnej obok armii lądowej i floty morskiej, w czasie, w którym doktryny wojskowe innych krajów przeznaczały lotnictwu — rolę bardzo skromną — broni pomocniczej. Zadaniem głównym tak pomyślanej armii powietrznej jest przede wszystkim atak. Atak na wojska lądowe i flotę morską i atak na centra położone wewnątrz kraju. Stąd główny nacisk położono na budowę dużych maszyn bombowych i samolotów zdolnych do walki z małej wysokości z wojskami lądowymi (loty koszące).

Podziwu godne są niesłychanie

PROSTE ŚRODKI TECHNICZNE.

jakiemi konstruktorzy Italji doszli do osiągnięcia swych celów. Samoloty duże o ciężarze w locie rzędu około 10 ton, rozwijają szybkość do 500 km/g i mają ładunek użyteczny 3—4 tonny. Na oko nie odznaczają się niczem rewelacyjnym. Oczywiście są dobrze opracowane aerodynamicznie, co jest dziś pierwszym warunkiem każdej konstrukcji lotniczej. W związku z szczegółowym studjum aerodynamicznym stoi konieczność odpowiedniej rozbudowy instytutów aerodynamicznych. Kraje, które te badania uważają za balast i „zawracanie głowy“, mogły mieć lotnictwo nieleżące jeszcze 10 lat temu, ale dziś muszą się wlec na szarym końcu.

Drugim atutem potężnym Italji, to wspaniałe silniki lotnicze dużej mocy, jakich dostarcza ich przemysł i dzięki którym ich samoloty mogą rozwijać te olbrzymie szybkości. Dla nas Polaków najbardziej pouczającym powinien być fakt, że duża ilość typów olbrzymów italskich, jest budowana z drzewa, albo raczej ściśle jako konstrukcja mieszana drzewo-stal, krycie płótnem lub sklejka, podobnie jak nasze samoloty turystyczne RWD.

ZALETY SAMOLOTÓW DREWNIANYCH.

Ma to znaczenie podwójne. Po pierwsze budowa prototypów drewnianych jest o wiele łatwiejsza i idzie o wiele szybciej, (w dobrych warunkach 6 do 8 miesięcy). Budowa prototypu metalowego pomi-

nawszy kilkakrotnie większy koszt — wymaga nierównie dłuższego czasu, mianowicie 2—3 lat. Skutkiem tego, nim się samolot zacznie budować seryjnie, nim go wypróbuje i zaakceptują czynniki biurokratyczne, jest to już zwykły typ przestarzały. Ale i sama budowa seryjna samolotów w dużej liczbie jest o wiele tańsza i szybsza przy samolotach drewnianych, co ma oczywiście pierwszorzędne znaczenie dla celów wojskowych.

Nie znaczy to, że należy zrezygnować zupełnie z budowy samolotów metalowych. Ale nie trzeba wpadać w przesadę, zwłaszcza u nas, nie posiadamy bowiem aluminium, a sprawowanie go w czasie wojny, nie może należeć do rzeczy łatwych. Natomiast mamy olbrzymie lasy i to będące w ręku państwa. Nie stoi na przeszkodzie, aby pomyśleć z wczesną o zamianie lasów na drzewo lotnicze. Mówię z wczesną, gdyż drzewo, które po ścięciu nie służy przynajmniej dwa lata nie nadaje się do poprawnej produkcji samolotów. Skoro dzisiejsza technika poucza, że nawet bardzo duże samoloty mogą być budowane z drzewa, bez uszczerbku dla ich wyczynów i wartości lotniczych, byłoby lekkomyślnością, gdybyśmy tej sprawy w bliskiej przyszłości rozwiązać nie umieli.

ZNACZENIE LOTNICTWA BOMBARDUJĄCEGO.

Podzielać zdanie zwolenników lotnictwa jako armii samodzielnej, że jego głównym zadaniem jest atak i że wobec tego największe znaczenie ma lotnictwo bombardujące. Znaczenie samolotów myśliwskich musi zmaleć bardzo. Podobnie jak w ostatniej wojnie żołnierze piechoty ukrywali się w rowach strzeleckich, nie narażając się bez potrzeby na strzały, tak też i rycerskie pojedynki pościgówek znikną jako bezcelowe; nikt nie będzie chciał ścigać kogoś dla samego ścigania. Pociąg ryzykować, urządzając walki flot powietrznych ze sobą na kształt bitwy pod Grunwaldem? Skuteczniejsze będzie urządzenie niespodzianych napałów nocnych eskadr liczących kilkadziesiąt czy kilka tysięcy samolotów bombowych na ważne centra wewnątrz krajów. Bombardowanie będzie zresztą możliwe i w dzień z wielkich wysokości poprzez chmury bez bezpośredniego widzenia celu, a więc naoślep. Dzisiejszy już stan radiotechniki — a każdy dzień może przynieść nowości rewelacyjne — pozwala prowadzić jak na sznurku samoloty wprost do celu i określać radiogoniometria krótkofalową punkt, nad którym samolot się znajduje z dokładnością kilkuset czy może kilkudziesięciu metrów, a więc z dokładnością rozrzutu bomb. Podobnie jak artylerja strzela dzisiaj często nie mierząc do celu, lecz przy zużyciu dużej ilości amunicji ostrzeliwując goście pewną połac terenu i obracając wszystko w gruzy, tak też i przy masowym nalocie duża ilość bomb, wyrzucona nad obranym terenem też swój cel osiągnąć może, mimo bombardowania naoślep. Deszcz pocisków kruszących, bomb termitowych, dających temperaturę około 3000°, a więc zapalających wszystko na co padną, bomb gazowych i bomb bakteryjnych (z dżumą np., kto liczy na humanitaryzm przyszedł wojny srodze się zawiedzie) musi zrobić swoje.

A OBRONA PRZECIWLOTNICZA?

Owszem istnieje — moim zdaniem — jedyna. Atak na atak, ząb za ząb, oko za oko. Innej niema. Poglądy na obronę czynną i bierną muszą ulec rewizji. I cóż z tego, że np. naszym dzielnym myśliwcem udało się stracić przy nalocie na Warszawę eskadr 300 dużych bombowców nawet choćby 50 z nich (a będąc one bronie zawzięcie i groźnie, uszkadzając myśliwskie samoloty również), pozostałe 250 wylądują za jednym nawrotem swoje 500 do 700 ton bomb. Parę takich nalotów a lotnisko na Okęciu, które tak chętnie i z taką dumą pokazujemy, z trzema fabrykami, z lotniskiem cywilnym, z licznymi obiektami wojskowymi, przedstawia kupę gruzów. Warszawa jest bez wody, bo o filtrach nie wspomniano, bez gazu, bez elektryczności, bez komunikacji tramwajowej, może bez mo-

(Dokończenie na str. XV).

ZBIGNIEW GROTEWSKI

Copyright Bull and IKC.

WIEŹIENIE PODWODNEGO ŚWIATA.

(8)

OPOWIEŚĆ FANTASTYCZNA DLA MŁODZIEŻY.

Królowa Undina wydała rozkaz odmar-szu. Żołnierze powrócili do swych wierzchołców, które czekały przy brzegu rafy koralowej, na której przed chwilą rozegrała się walka między królową, a krnąbrnym księciem Koralji.



Neptun dogląda, by żołnierz dobrze skropował Jackowi ręce, celem przewiezienia go w podziemia Koralji.

Władcy podwodnego świata odniosła triumf na całej linii. Pokonała Jacka Żegotę, który osmieleł się zbuntować przeciwko jej woli. Profesor Krakus i Wanda znaleźli się w jej mocy. Może w każdej chwili pozbawić ich życia...

Tak, lecz wtedy na zawsze utraciliby Jacka.

To też, mimo zwycięstwa, królowa Undina nie jest zadowolona. Oto ma troje jeńców — i nie ponadto... Jacek Żegota jest zbyt uparty, zbyt pewny siebie, by nawet w takiej sytuacji, w jakiej się obecnie znalazł, poddał się woli królowej.

Chyba zagrozi mu że w razie dalszego oporu z jego strony — skąże na śmierć Wandę i profesora Krakusa. Nie — za taką cenę nie chce zdobywać serca Jacka. Nienawidziłby jej zawsze...

Rafa koralowa upustoszała. Profesor i Wanda zostali zamknięci do wielkich cylindrów, w których mogli swobodnie oddechać w czasie transportu do pałacu podwodnego. Kilku żołnierzy uniosło cylindry, które następnie umieszczono między dwoma morskimi rumakami.

Tymczasem Jacek Żegota odzyskał przytomność. Znalazł się znowu w swym żywiole. Mógł oddechać swobodnie. Otworzył oczy — i ujrzał koło siebie Neptuna, który przyglądał się mu z złością.

— Dziękuję wam, Neptunie — rzekł Jacek — uratowaliście mi życie.

Neptun skłonił się dworsko.

— Spełniłszy tylko rozkaz jej królewskiej mości. Cieszę się, że książę czuje się już lepiej...

— No, poniekąd moje ocalenie zawdzięczam również i celności strzału... gdyby kula trafiła trochę niżej, zamiast helmu strzaskałaby mą czaszkę...

Neptun uśmiechnął się lekko.

— W takim razie pozwolę sobie przedstawić owego podoficera do nagrody. Sądzę, że powinien otrzymać odznaczenie...



Przywołany Pluton, wykonawca wyroków Koralji, odczytuje wyrok królowej Undiny na więźniów, t. j. profesora Krakusa i Wandę.

— To w waszej Koralji macie ordery!

— Ho, ho — więcej niż u was na ziemi. Królowa chętnie rozdaje ordery... Niektórzy nasi obywatele mają ich całe kolekcje. Królowa jest tak dobra, że gdy któremu z dygnitarzy brakuje orderu do kolekcji, zaraz mu go daje...

— Hm... to jak nasi filateliści — uśmiechnął się Jacek.

Tymczasem orszak królowej Undiny z trębaczem na czele, który wygrywał na rogu pieśń zwycięstwa dotarł już do miejsca, gdzie znajdował się Neptun i Jacek.

Królowa spojrzła na swego jeńcę.

— Jak się miewa nasz buntownik — spytała tonem dość łagodnym.

— Już zupełnie dobrze — zameldował Neptun — kula nawet go nie drasnęła.

— W każdym razie lepiej mu skropować ręce — zdecydowała władczyni. — Młody książę jest porywczy i napewno będzie żalował swych nieopanowanych ruchów. Lepiej więc, aby miał mniejszą swobodę ruchów.

Dworzanin uśmiechnął się przebiegle.

— Wiemy o tem dobrze, mości książę. Będziemy się starać, aby tym dwojga nie stała się u nas żadna krzywda. Mogłoby to przecież zasnąć waszą książęcą mość, która jest naszym najmiłym gościem...

— Tak, gościem, któremu krępuje się ręce... — zauważył Jacek.

— Ale nam już czas w drogę. Orszak królowej odpływa — rzucił w odpowiedzi Neptun.

Kawalerja podwodna, otaczająca więźniów, na głos trąbki ruszyła z miejsca.

Orszak posuwał się w milczeniu. Królowa Undina nie odzywała się słowem do Jacka, który jechał za nią. Neptun kołysał się na swym wierzchowcu, czuwając bacznie, by Jacek nie popełnił znowu jakiegoś nierozważnego czynu.

Profesor i Wanda zamknięci w stalowych cylindrach nie mogli z sobą rozmawiać. Przejęci byli oboje obawą o los Jacka, który niewątpliwie zasłużył na surową karę, godząc na życie królowej.



Przy dźwiękach rogów orszak z więźniami, a królową Undiną na czele, posuwał się powoli wśród skał podwodnych do pałacu królewskiego.

— Stanie się według rozkazu waszej królewskiej mości.

Neptun skinął na żołnierzy, aby powrota skropowali Jacka. Żegota odzyskał już większą pewność siebie. Jeszcze nie wszystko stracone. Głos królowej miał brzmienie tak łagodne, niemal przebaczące.

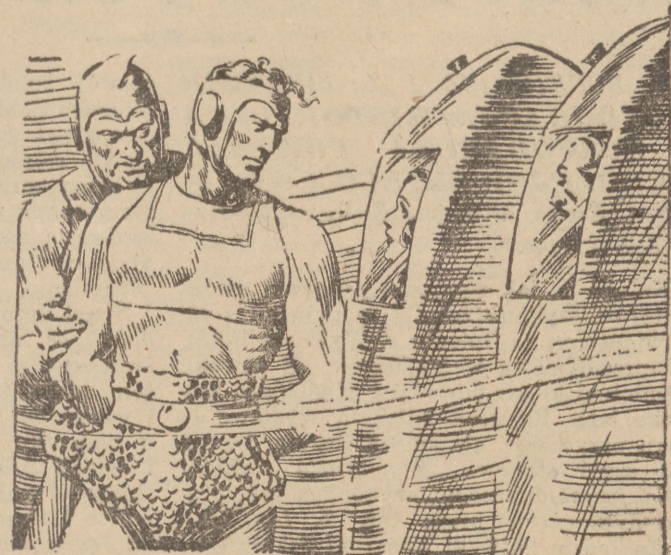
Zwrócił się znowu do Neptuna.

— Neptunie — raz jeszcze wyrażam ci szczerą wdzięczność za wyratowanie mnie z tej opresji — ale wiesz dobrze, że nie zależy mi na moim życiu. Myślę tylko o profesorze i Wandzie.

Krakus zastanawiał się nad tą przedziwną podwodną przyrodą. Był nawet raczej zaciekawiony tem całym nowym wydarzeniem. Oto znalazł się u wrót legendarnego królestwa, którego istnienie przewidział. Koralja wydawała mu się zatopioną przed wiekami Atlantydą, której mieszkańcy musieli przystosować się do życia podwodnego. W profesorze przebiegła ciekawość badacza. Wyteżył wzrok, aby przez szybkie dojrzeć drogę po jakiej się posuwał. Zastanawiał się, skąd ci ludzie podwodni posiadali te wszystkie narzędzia, broń, ubiory. Skąd się wzięła na dnie morza — ta cywilizacja, o której nikt nie wiedział. Od wieków żyła w głębi mórz druga ludzkość, podlegająca innym



Królowa Undina oświadcza w lochach Koralji więźniemu Jackowi, że jego towarzysze będą poddani operacji, aby ich zamienić na ludzi podwodnych.



Jacek Żegota uwięzionym swym towarzyszom w pneumatycznych cylindrach oświadcza srogą wyrok królowej Undiny.

prawom, nie znająca słońca. Oto zbliżają się już do bram pałacowych. Profesor dostrzegł przez szybę potężne wrota, chroniące wstępu do pałacu podwodnego. Są już u celu wędrówki.

Jaka będzie decyzja królowej?

Otworzył się znowu ciężkie wrota i cały orszak znalazł się poza murami podwodnej fortecy.

Teraz dopiero królowa Undina przerwała długotrwałe milczenie. Skinęła na Neptuna, który pilnował Jacka i wydała mu rozkazy.

— Całą trójkę przeprowadzić do lochów. Tam będą czekać na moją dalszą decyzję.

Potem dodała, groźnie marszcząc brwi.

— Niech Pluton zamelduje się w sali tronowej...

Neptun zrozumiał całą groźbę sytuacji, w jakiej znaleźli się więźniowie. Wezwania Plutona wyjaśniło mu wszystko.

Wszak Pluton był bezlitosnym wykonawcą wyroków podwodnej sprawiedliwości. Tem człowiekiem bez serca był postrachem Koralji.

Wypełniono rozkaz królowej. Cylindry, w jakich znajdowali się profesor i Wanda, odniesiono do lochu, służącego za więzienie. Tam też żołnierze zaprowadzili Jacka.

Pluton, usłyszawszy rozkaz królowej, uradował się wielce. Będzie miał nową robotę. Oddawna patrzył już niechętnym okiem na tego cudzoziemca, obsypywanego zaszczytami, który zasiadał przy królewskim stole i cieszył się łaskami królowej. Teraz jest jego więźniem... Ho, ho — popamięta już Plutona.

Zwawym krokiem muskularny wykonawca wyroków sprawiedliwości biegł ku sali tronowej.

— Ach, jesteś już Plutonie! — powitała go łaskawie królowa Undina, która zasiadła już na tronie. — Czy wiesz o wszystkim?

Pluton stanął na baczność i zameldował:

— Wiem, że buntownik, który godził na życie naszej władczyni znalazł się w mojej mocy — i obecnie czeka na surową karę. Mogę zapewnić waszą królewską mość, że po raz drugi sztylet nie zabłyśnie mu już w rękę... Jakam Pluton — temu chłopczkowi nie zachce się już nigdy żartów z bronią.

— Plutonie — odparła gniewnie królowa — wymiar sprawiedliwości należy do mnie. Wykonasz tylko to, co ci rozkażę... Nie wolno skrzywdzić żadnego z naszych jeńców. Głową odpowiesz mi za ich życie.

Pluton spojrział zdumiony na królową. Tego już nie mógł pojąć swym nie zbyt zresztą lotnym umysłem. Jak to, więc królowa pragnie jeszcze okazywać jakieś względy tym buntownikom? Świat podwodny się kończy. W Koralji zawsze panowały surowe prawa, nie było anarchji, wszyscy szanowali władzę i ślepo wykonywali rozkazy. I nagle z ziemi przybywa buntownik, który wprowadza zamęt.

— Plutonie, tu jest wyrok... odczytaj go...

Wykonawca wyroków sprawiedliwości rzucił okiem na arkusz. Wyrok odnosił się jedynie do osób Krakusa i Wandę. Ani słowa o Jacku.

— Wasza królewska mość — ten wyrok nie jest kompletny, brak tu wzmianki o głównym buntowniku...

— Dość tego Plutonie — zawołała królowa, zrywając się z tronu. Masz wykonać rozkaz i nie zadawać żadnych pytań. Zresztą ja sama oznajmię więźniom, o ich czeka.

(Dokończenie na str. XIV).

(Dokończenie ze str. XIII).

Królowa Undina zesła zę stopni wznie sienia, na którym stał tron i skierowała się ku wyjściu z sali. Pluton moc-

no niezadowolony i urażony szedł za nią.

Po kilku minutach królowa Undina znalazła się w lochu podwodnym, gdzie przebywali jejcy.

Na środku lochu stał Jacek.

— A więc los twoich towarzyszy jest już przesądzony — rzekła królowa.

Jacek zbladł.

— Pozostaną na zawsze w królestwie Koralji — zostaną poddani odpowiednie-

mu zabiegowi i nie będą mogli już oddechać ponad powierzchnią morza...

Zagota nie odezwał się ani słowem. Wyrok był łagodny. Wszak królowa początkowo groziła śmiercią jego towarzyszom.

— Wszyscy troje pozostaniecie tu nadal pod opieką Plutona, który będzie o was dbał, jak o gościach Koralji.

Po tych słowach królowa Undina opuściła celę więzienną.

Jacek spojrział na Plutona. Wolałby jakiegoś innego opiekuna — ale trudno. Zbliżył się do cylindrów, w których znajdowali się profesor i Wanda. Chciał z nimi zamienić parę słów.

— Przebac mi Wando, że naraziłem cię na to wszystko. Będziecie zamienieni w ludzi podwodnych.

— Jestem szczęśliwa, że będę razem z tobą — odparła Wanda.

Lecz Pluton przerwał dalszą ich rozmowę, odciągając Jacka.

— Więziom nie wolno się porozumiewać — krzyknął nad uchem Jacka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kącik dla Pań.

Jak „umodnić” zeszlóroczne stroje?

(lew.) Togoroczna moda jest bardzo „wygodna”. Można ją nawet nazwać praktyczną. Dopuszcza kombinowanie różnych materiałów, sute przybieranie haftem, paciorkami, pająkami i t. p., dzięki czemu można stosunkowo łatwo i tanio zeszlóroczną jakąś sukienkę zmodernizować efektownie.

Oto np. do czarnej sukni, która ma już niemodne rękawy, możemy dorobić „góre” z białej, plisowanej żorżety (jak to demonstruje jedna



wego aksamitu czy z tak bardzo efektownego wzorzystego brokatu. Z tego samego materiału zrobiony mały zarekaweczek, będzie również modnym szczegółem w tegorocznym krawale do sukien wieczorowych.

Potrzeba jest, jak wiadomo, matka wyłazku. Można więc w razie potrzeby doskonale zmodernizować także stary płaszcz wełniany przez dodanie mu futrzanego kołnierza, ozdobienie futrem kieszeń, ranwersów i t. p. W braku futra może też



efektownie kolorowy szalik wnieść jakąś nową nutę w zeszlóroczny płaszcz.

Podobną metamorfozę da się też zastosować i w kapeluszach. Niejedna z pań ma zeszlóroczny fason; filc jest jeszcze bardzo dobry, lecz włożony na głowę, wygląda już niemodnie. Zbyt niska główka można łatwo „dosztukować” wstążką rypsową kilkucentymetrowej szerokości. Dodanie jakiejś fantazji z piórek, skrzydełka, lub „strzałki” zrobionej z tej samej wstążki rypsowej, która otoczony jest kapelusz, doda zeszlórocznemu fasonowi charakter „modności”.

z naszych rycin); uzyskujemy w ten sposób miłą suknię popołudniową. Gdy zaś z jakiejś już nieco przeszalonej sukni czarnej jedwabnej chcemy „wykocypować” suknię wieczorową, możemy ją na najrozmaitsze sposoby skombinować z wzorzystym brokatem, czy lama, możemy jej dorobić karczek, lub wsadkę naszytą pająkami, czy zahaftowaną kolorowymi paciorkami i t. d. Te same pająki i paciorki mogą też dyskretnie przyozdobić rękaw, pasek, szarfkę i t. d.

Praktyczna pani może również łatwo uzupełnić dawną czarną suknię popołudniową, czy wieczorową bołerką, lub żakietem z koloro-

Na ilustracjach naszych widzimy ostatnie nowości mody paryskiej. 1) Miła suknia popołudniowa z czarnego, sztucznego jedwabiu. Góra z białej plisowanej żorżety. Wykończenie przy szyi i przy grabnych krótkich rękawkach z materiału spodniczki. 2) Elegancka suknia domowa z czarnego crepe satin. Szerokie rękawy i suta szarfka z jedwabiu wbarwiony wzór kwiatowy. — 3) Szykowna suknia przedpołudniowa z ciemno-granatowej wełny w paski w tym samym kolorze. Pod szyją kokarda z białej piki. Pasek skórzany z oryginalną kłamrą. — 4) Trzykwciowy żakiet z popielatych indyjskich brajzszawców, bardzo modnych w tym roku.

Anegdota ciekawe.

WINO ALEKSANDRA DUMASA.

(y) Aleksander Dumas był wielkim znawcą i smakoszem win wszelkiego rodzaju; miał też w swojej piwnicy niezgorsze gatunki win. Pewnego dnia, gdy siedział w gronie swych gości, również niezgorszych amatorów wina jak on sam, zabrakło tego napoju, a służący na wezwanie, aby napełnić na nowo kieliszki, odpowiedział, że właśnie wszystko wino się skończyło.

— Wobec tego idź i kup wina — rzecze Dumas.

— Cóż, kiedy w żadnej winiarni nie chcą nam już udzielić kredytu — odpowiedział służący.

Dumas wyciągnął pieniądze i po chwili wrócił uradowany służący, niosąc pełny dzban wina. Zaledwie jednak Dumas umaczał usta w winie poznał natychmiast, że wino pochodzi z jego własnej piwnicy.

— Słuchaj lotrze — zawołał porzywany poeta — ja wiem, że ty mnie okradasz, ale bądźże na tyle uczciwym i udzielaj mi czasem kredytu.

TO CO INNEGO.

(y) Panna Magdalena de Scudéry ceniona powieściopisarka francuska XVII w., nawet mimo swego podeszłego wieku nie pozabawiona była wdzięku i dowcipu. Gdy ją pewnego razu zapytano, czy prawda jest, że liczy już 70 lat — odpowiedziała:

— O ile chcecie wierzyć metryce — to tak!

TYLKO ZA PIENIADZE.

(y) Pewnemu amerykańskiemu fabrykantowi konserw udało się nakłonić sławnego śpiewaka Carusa Henryka do zaśpiewania u niego w czasie uczty kilku pieśni. Oczywiście program śpiewu i wysokie honorarium zostało zgóry ściśle ustalone.

Po kolacji sławny tenor odśpiewał zamówione dwie pieśni.

— Boski mistrzu — prosi gospodarz, chcąc swoim gościom sprawić przyjemność — czy nie zechciałby pan jeszcze jakiś naddatek...

— Ależ chętnie, bardzo chętnie — odparł na to uprzejmie Caruso — tylko... panu zostawiam pierwszeństwo.

WŚRÓD NOWYCH KSIĄŻEK.

S. BORKIEWICZ I Z. LINOWSKI: **MONOGRAFJA HISTORYCZNA I GOSPODARCZA POWIATU JĘDRZEJOWSKIEGO**, z 40 ilustracjami, Kielce, nakładem Związku Ziemiaków w Jędrzejowie.

Księga ta, jak wynika z końcowej uwagi autorów, wydana została w związku z zapowiedzianą na lipiec b. r. Wystawą Rolniczo-przemysłową w Miechowie. Z powodu pamiętnej klęski powodzi i gradobicia, kielecka Izba Rolnicza odłożyła wystawę do roku przyszłego, ale księga została. Drugą jej część stanowią „Monografia rolnicza pow. jędrzejowskiego”, wykonana jako praca dyplomowa przez inż. Z. Linskiego w Zakładzie Polityki Agrarnej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Obejmuje ona krótki rys fizyko-geograficzny powiatu, jego podział administracyjny, ludność i budynki, omawia strukturę agrarną, czynniki warunkujące

rozwój rolnictwa, wytwórczość rolniczą wreszcie zakłady i instytucje, poświęcone rozwojowi rolnictwa. Na zamierzonej wstawie rolniczej treść tej monografii miała być pewnie unaczyniona w tablicach statystycznych i wykresach. Nasi ekonomiści, zwłaszcza agrarni, będą autorowi wdzięczni za żmudne zestawienia i ich naukowe oświetlenie.

Drugi autor, p. Seweryn Borkiewicz, wydoł z źródeł drukowanych i aktów, zwłaszcza z hipoteki kieleckiej, wiadomości, odnoszące się do nadań, założenia i właścicieli stu jedenastu (wymienionych w porządku alfabetycznym) miejscowości i osiedli dzisiejszego powiatu jędrzejowskiego w województwie kieleckim i ułożył z nich 111 monografijk „Z przeszłości Ziemi Jędrzejowskiej”. Wydała ona, lub gościła, Wincentego Kadłubka, Mikołaja Reja, Chryzostoma Paska, Wespazjana Kochowskiego, Stanisława Konarskiego, Kazimierza Laskowskiego i Adolfa Dygasińskiego, którym autor przy odpowiednich miejscowościach poświęca gorące słowa. Do żmudnej pracy skłonił autora, jak sam wyznaje, pietyzm dla stron rodzinnych i chęć uwiecznienia przeszłości przez podanie posiadaczy wsi, ich potomstwa, transakcyj, sporów i zapisów. To zadanie spełnił sumiennie. Zamiar opisu ważniejszych kościołów, dworów i pamiątek wypadł mniej zadowalająco, ale i tu historyk sztuki znajdzie niejedną cenną wskazówkę.

MAREK AURELJUSZ: ROZMYŚLANIA, przełożył oraz objaśnieniami zaopatrzył Marjan Reiter, z wstępem T. Sinki, Warszawa, wydano z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej J. Pilsudskiego, Biblioteka Filozoficzna Kłasyków nr. 29.

Spopularyzowany u nas przez poemat Mickiewicza o Pomniku Piotra W. „kochanek ludów”, M. Aureli, dorzekał się dopiero w r. 1913 pierwszego polskiego przekładu pióra dra M. Reitera, gdy w Anglii ukazało się w latach 1900—1908 — 30 przekładów, a w poprzednich trzech wiekach 16; gdy we Francji i Niemczech jest ich po

kilkanaście. Narody protestanckie budują się ta świecka ewangelia obowiązku „filozofa na tronie” i uczą się z niej służyć bliźniemu i ludzkości bez innej nagrody, jak zadowolenie wewnętrzne. U nas, zdaniem świetnego humanisty, prof. L. Pińskiego, „Rozmyślania” te mogą się stać „zachętą na drodze bezinteresownej pracy, ukojeniem smutku i zwątpienia” dla ludzi „nieumiejących wierzyć”.

Dr Reiter podał swój przekład z przed 30 lat gruntownej rewizji tak, że oddaje on wiernie i myśli oryginału i jego formę improwizowaną urywkową, familiarną, Trójarkuszkowy „Wstęp” T. Sinki mówi o filozofie na tronie, czasach i ludziach II w. po Chr., ówczesnej filozofii popularnej (stoicko cynicznej), życiu M. Aurelega, o osobliwym dzienniku naczelnego wodza (to właśnie te „Rozmyślania”) i o pośmiertnych losach tej książki. U nas Mickiewicz dał we wspomnianym poemacie wyraz temu entuzjazmowi dla filozofa na tronie, którym otaczało go francuskie i polskie Oświecenie, ale jego „kochanek ludów”, wsławiony (rzekomo) wygnaniem szpiegów i donosicieli i poskromieniem dzierców domowych, nie ma w sobie nic historycznego i przypomina raczej Tytusa, zwanego

(Dokończenie ze str. XII).

stów na Wiśle? Fantazja? Niestety, widmo ponurej rzeczywistości. Przesadzam? Nie, raczej nie wierzę, aby bombardowanie powietrzne mogło dziś zmieść miasto z powierzchni ziemi. Mimo bombardowania można sobie w mieście żyć wcale przyjemnie. Ale to może być przyjemne życie tylko dla żołnierza, otrząśniętego z piekłem ognia huraganowego, wobec którego bombardowanie powietrzne jest fraszką. Dla ludności cywilnej duże skupiska będą niemieszkalne. Obrona przeciwlotnicza będzie miała głównie charakter bierny i to jej doktryna będzie musiała ulec zmianie w duchu: „duże miasta i centra przemysłowe i ważne objekty w tyraljere. Tylko rozsypanie dużych skupisk i ważnych obiektów na jak największej przestrzeni sparaliżować może skuteczność ataków powietrznych. Przygotowanie tych możliwości, ich przedyskutowanie i opracowanie to problem nielada.

DESANT LOTNICZY.

Czy lotnictwo może wymusić rozstrzygnięcie wojny? Sądzę, że nie. Przynajmniej dziś jeszcze nie. To jest zadanie piechoty. Ale pamiętajmy o możliwościach dużych desantów lotniczych. Dwa do trzech tysięcy ludzi świetnie uzbrojonych i zdecydowanych na wszystko, które lotnictwo może wysadzić głęboko na tyłach, może tam narobić strasznego bigosu. A to jest rzecz dająca się dziś zrealizować.

TYLKO DOBRZE ROZWINIĘTY PRZEMYSŁ.

Wystawa lotnicza w Medjolanie nasuwa jeszcze jedną refleksję. Oto zarówno Niemcy, jak i Italia mają świetnie rozwinięty przemysł. Dziś nie ulega wątpliwości, że lotnictwo wojskowe to: masa. Łatwo powiedzieć masa. Więc masa samolotów, masa silników, masa pomocniczego sprzętu i uzbrojenia specjalnego lotniczego. A każdy żołnierz-lotnik będzie zdierał tych płatowców i silników więcej niż piechur butów. Tysiące płatowców i silników pożerać będzie wciąż niesyty front. Powstań więc o coraz to lepsze własności techniczne. o większą szybkość i własność, i to może stać się nieraz przyczyną, że tysiące samolotów będzie trzeba odsunąć do celów podrzędnych, aby dać na front materiał o lepszych własnościach technicznych. Sprzętu tego będzie trzeba dawać coraz więcej i więcej. I to wszystko szybko, szybko, jeszcze szybciej, bo inaczej wszystko się zawali.

Przedsmak tego wyścigu daje tabela statystyczna z czasów wielkiej wojny, podług danych pulk. Reboula (Przemysł wojenny we Francji) produkcja kwartalna:

Table with 4 columns: kwartał roku, ilość samolotów, płatowców nowo i data remonty, silniki nowo i data remonty. Rows for years 1914, 1916, 1917, 1918 and quarterly averages.

Przez ile będą mnożone te cyfry w przyszłej wojnie? Przez 2, 5, 10, 100?

Widzimy, że zagadnienie potężnej armii lotniczej to jest przedewszystkiem zagadnienie przemysłu, zdolnego do olbrzymiego wysiłku, zdolnego do masowej produkcji sprzętu lotniczego.

I to jest również problem, nad którym musimy w Polsce poważnie i fachowo pomysleć.

amor et delictone generis humani, miłością i rozkoszą rodu ludzkiego.

Taką rozkoszą dla czytelników, kulturyjących swe „człowieczeństwo” czyli istotny humanizm, jest lektura owych „Rozmyślań”, ułatwiona wzorowym przekładem dra Reitera.

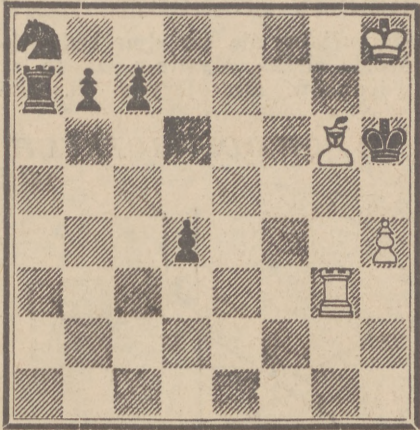
JACQUES MARITAIN: RELIGJA I KULTURA, przekład H. WEŻYK-WIDAWSKIEJ, Poznań, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej.

W dwudziestu kilku tomach w serii „Kultura Katolicka”, wydanych przez Naczelny Instytut Akcji Katolickiej w Poznaniu, spotyka się często cytaty z dzieł i artykułów wybitnego francuskiego filozofa i polemisty katolickiego, tak że przekład jego Religion et culture, wydany dopiero w tomie 25 owej serii przychodzi wcale późno. To spóźnienie możnaby objaśniać tem, że świecki teolog, jakim jest Maritain, mimo swej prawowierności posuwa się często do twierdzeń czy sformułowań tak skrajnych i paradoksalnych, że mogą one niepokoić mniej wyrobionych teologicznie wiernych. Takich skrajności nie brak i w broszurze

Kuryer szachowy

Nr. 47 608).

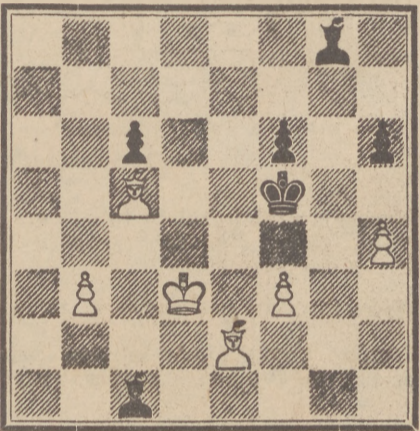
T. R. Dawson (I. nagr. w XXXII konk. The British Chess Problem Society 1936-7). Czarne: Kh6, Wa7, Sa8, piony: b7, c7, d4 (6).



Białe: Kh8, Wg3, Gg6, piony: h4 (4). 3-chodówka. 4+6=10. Mat w 3 posunięciach.

H. Rinck (Escacs a Catalunya 1937) poświęcone pamięci V. Marina (†).

Czarne: Kf5, Gc1 g3, piony: c6, f6, h6 (6).



Białe: Kd3, Gc5 e2, piony: b3, f3, h4 (6). Końcówka (+) 6+6=12. Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nru 46 (607): 3-chod. Mgra E. Arłamowskiego: 1. S-f6!; I. 1... exf6 2. G-h5 i 3x; II. 1... cxb5 2. S-d5 i 3x; III. 1... e6 2. S-e4 i 3x; IV. 1... inaczaj 2. S-e4 i 3x.

Końcówki K. A. L. Kubbeła: 1. e6 Gxe8 2. H-a4+ K-d8 (-f8) 3. H-d4+ (-f4+) HxH 4. Sxe6+ i wygrywa.

PARTJA Nr. 74 (738).

Białe: Dr A. Alechin Czarne: Dr M. Euwe VIII partja pojedynku o mistrz. świata grana 21 października b. r. w Leyden.

Obrona indyjska.

- 1. d4 S-f6 14. S-b2 (9) Sf-d5 2. c4 e6 15. Sxd5 eXd5 (10) 3. S-c3 G-b4 16. G-b4 (11) H-e6 4. H-c2 d5 (1) 17. K-f2 S-a4 (12) 5. cXd5 HXd5 (2) 18. H-d2 b6 (13) 6. e3 e5 19. G-a6 Wc-b8 (14) 7. a3 Gxc3+ 20. e4! b5 (15) 8. bxc3 Sb-d7 (3) 21. H-f4! W-b6 9. f3 (4) eXd4 22. eXd5! HXd5 10. cXd4 S-b6 (5) 23. Wh-dl+ G-e5 11. Sg-e2 G-d7 (6) 24. Wa-cl f6 (16) 12. S-f4 H-d6 (7) 25. W-c7 (17) K-d8 13. G-d2 (8) Wa-e8 26. Wxa7 Czarne poddały się. (18)

Uwagi:

- (1) Także 4... c5 jest często grywane w tym warjancie. (2) Czarne dają do szybkiego rozwoju. W razie 5... eXd5 byłoby 6. G-g5 niewygodnym dla czarnych. (3) To uchodzi za lepsze, niż 8... S-c6, co zasłaniałoby przekątnie Gb7 i umiarko ewentualnego rozdarcia pionów i osłabienia skrzydła króla po Gxf6 n. p.: 8... S-c6 9. G-b2 0-0 10. S-f3 b6 11. c4 i t. d. (4) Euwe grał przeciw Botwinnikowi (Nottingham 1936) i przeciw Grünfeldowi

(Amsterdam 1936) 9. S-f8 i uzyskał dobrą grę. Posunięcie w partji planuje budowę silnego i elastycznego centrum, opóźniając rozwój partji.

(5) Niedopuszcza do G-c4. Należało rozważyć posunięcie 10... e5!, które burzyło centrum białych.

(6) Euwe dąży do uzyskania przewagi pozycyjnej. Godne zastanowienia było: 11... 0-0 12. S-c3 H-h5 13. S-b5 G-d7! poczem G-c6.

(7) Czarne unikają tutaj narzucającego się więcej, choć o tendencji mniej ambitnej posunięcia 12... H-c6.

(8) Celem przeszkodzenia przeciwnikowi w 0-0. 13. a4!, coby napozór miało tensam skutek, byłoby błędem wobec: W-c8 14. H-b3 Gxa4 15. Wxa4 Wxc1+

(9) 14. H-b3 G-a4! 15. G-b5+ Gxb5 16. Hxb5+ H-d7 byłoby wodą na młyn zamiarów czarnych.

(10) Czarne uzyskały już jedno, a mianowicie nie pozwoliły białym sforsować e4, teraz jeszcze chodzi o unieszkodliwienie groźby G-b4. W tem drugim działaniu

akcja mistrza świata załamuje się, powodując przegraną partję.

(11) 16. G-d3 S-c4!

(12) Czarne chcą nietylko wypędzić G-b4, lecz także nie pozwolić mu zająć pola c5. Jeszcze teraz miały czarne sposobność wyrównania partji przez: 17... S-c4! 18. Gxc4 Wxc4, poczem f5. Jest zrozumiałe, że Euwe przy dotychczasowym stanie pojedynku (+3, -2, =2 dla Alechina) gra na wygraną.

(13) Kontynuowanie fałszywego planu. 18... f5 dawało jeszcze słabsze widoki wyrównania gry.

(14) Po 19... W-c7 białe zdobywają przez s0. Wh-cl linję c, a następnie po e4! otwierają linję e.

(15) Zamyka wprawdzie Ga6, Czarne mają jednak z tym wieżniem dużo kłopotu. Imne posunięcia także nie ratują partji.

(16) Grozi 25. W-c8+ K-d7 26. H-c7 mat.

(17) Grozi morderczym posunięciem W-e7+ i jest jeszcze silniejszym, niż W-c8+ poczem Wxh8.

(18) Po 26... W-c6 rozstrzyga 27. Wxe6!

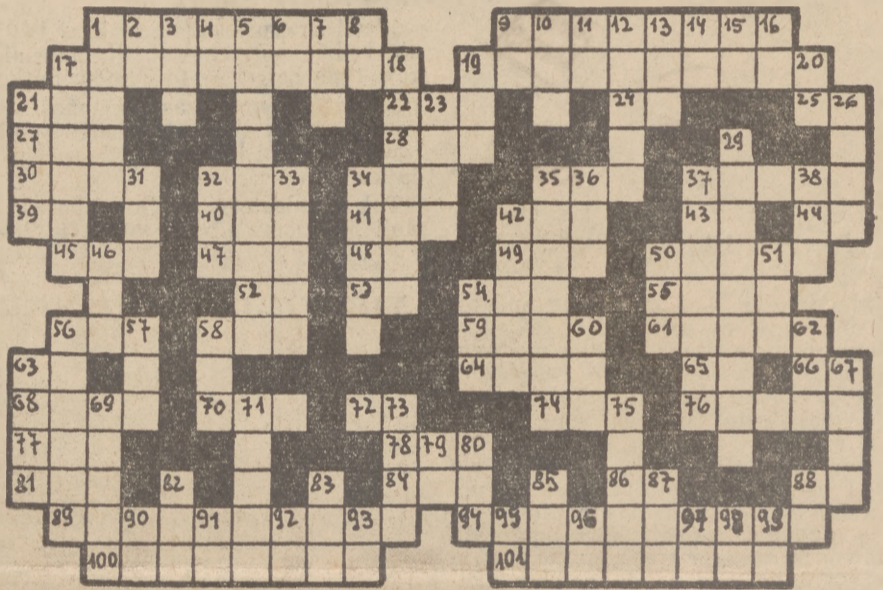
Kącik rozrywkowy.

—o—

Krzyżówka Nr 46.

(Ul. Miecz z Krakowa).

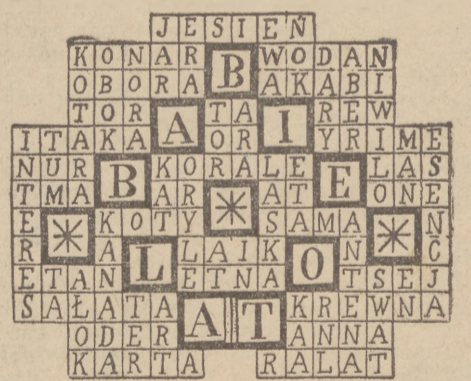
Posłomo: 1) opieka, 9) urząd w dawnej Polsce, 17) bajeczna królowa Babilonu, 19) złodziej koni, 21) zastęp, 22) imię żeńskie, 24) przymek, 25) zaimek wskaz., 27) „przyjaciół” w jez.



33) tymczasowy budynek, 34) kurzawa, 35) wóz pogrzebowy, 36) trzynasty lub piętnasty dzień mies. w kalend. starożytnym, 37) lekceważenie, 38) imię żeńskie, 42) upał, 46) zwierzę dom., 50) czyn, 51) „co” w jez. ob., 54) „jest” w jez. ob., 56) urządzenie do poruszania maszyny, 57) zaimek, 58) spód naczyń, 60) spółnik, 62) droga, 63) biegły, fachowiec, 67) słaby, 69) płaski dach, 71) zwierzę domowe, 73) dopływ dolnego Bugu, 75) nic warci, zli, 79) inicjały twórcy „Nad głębią”, 80) skrót zespołu lig. piłki nożnej, 82), napój alkoholowy wst., 83) dziwo, 85) liczebnik, 87) przyjaciel Mickiewicza, 88) posiada, 90)

spółg. fonet., 91) rodzajnik franc., 92) zaimek wskaz., 93) staroegipski bożek słońca, 95) = 4, 96) partykuła drugiego przypadku w jez. ang., 97) = 93, 98) przyimek, 99) nuta.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 45.



ROZWIĄZANIE REBUSU Z Nru 47. O ile kłamstwo jest gadatliwe o tyle prawda jest milcząca.

AXEL MUNTHE: KSIĘGA O LUDZIACH I ZWIERZĘTACH, przekł. z angielskiego S. Kuszelewskiej. Warszawa, Biblioteka „Kurjera Porannego”.

Zasłużone powodzenie uroczej „Księgi z San Michele” ociemniałego samotnika z Capri skłoniło go do ponownego wydania młodzieńczych szkiców, które on sam w Przedmowie waha się nazwać nowelkami, a które są raczej — feljetonami. Sieją one czasów, gdy Munthe studiował w Paryżu medycynę, przygotowywał się do egzaminów i dyżurował po szpitalach, i gdy potem brał w Neapolu udział w zwalczaniu cholery; niektóre dotyczą już epoki osiedlenia się na Capri: „Bohaterami” ich są przeważnie biedni i sympatyczni Włosi, ta „Italia w Paryżu”, którą młody doktor leczył w Baraku Russela, i typy z Neapolu czy Capri.

Wstępne opowiadanie o katarzyniarzu Don Gaetano i jego małpce, umierającej na suchoty, przypomina znaną nowelkę Prusa, który w niej, taksamo jak Munthe, kroczy śladami sentymentalnego humoru

Dickensa. Inny charakter ma „gwiazdkowy” feljton (antyniemiecki) o lalkach („Zabawki z paryskiego widnokręgu”). Grafoman „Monsieur Alfredo”; robotnik Salvatore jako czuły ojciec niedorozwiniętego, niemego dziecka, Petruccia; modelka Raffaella, usześliwiona nieszczęściem macierzyństwa — to dalsze figury włoskie, oglądane przez autora przez szklą konwencjonalnego (feljtony ogłaszane były w Magazynach angielskich) sentymentalizmu. Papierowa baśń o „Mont-Blanc, królu gór” jest najślabym numerem zbioru. Trzy feljtony (Menażeria, Zoologia, Głos wołającego na puszczy) służą propagandzie opieki nad zwierzętami, do której mniej zachęcają „Psy na Capri”. Uzupełnienie wspomnień paryskich stanowi hołd, złożony siostrze Miłosierdzia. „Soeur Philonière”, umierającej w baraku cholerycznym w Neapolu, a z cholerą w Neapolu łączy się historyjka o wdzięcznym kamoryście („Kiedy zginał Tapio”) i księdzu, reklamującym Madonnę del Buon Cammino.

Polszczyzna przekładu czysta; korekta cytatów włoskich zaniedbana, np. na str. 230 Noi aveta zamiast Voi anete.

ZBIGNIEW GROTOWSKI.

RYS. CHARLIE I M. PIOTROWSKI.

O zimie, dzieciach i plotkach.

ZIMA TOTALNA.

Zyjemy ciągle w atmosferze t. zw. „lansowanych plotek“. Rozmaite plotki żyją — z plotek. Puszcza się w obieg rozmaite fa-

PRZYSŁOWIA ILUSTROWANE.



„Pomysły leżą na ulicy“...

Centralnej, ale też i przez żelazo, jakie dać będziemy dla wzmocnienia zdrowia naszych dzieci.

Naogół cena dzieci nie była u nas wysoka. Za siódmego syna otrzymywało się — 50 zł. Gdyby u nas urodziły się pięciopięć — i to płci męskiej — to trzeba byłoby jeszcze „donieść“ parę bliźniąt, aby otrzymać premję. Nawet sześciopięć hinduskie nie wystarczą...

Trzeba podnieść cenę dziecka.

SLOGANY NA CZASIE.

Rozmaite instytucje w swych zbiórkach wysuwają hasła najróżnorodniejsze. Zdaje się jednak, że najbardziej przekonującym, najbardziej trafiającym do świadomości przechodnia jest hasło, jakim posługuje się przy swych zbiórkach Pogotowie Ratunkowe. Mówi ono wprost: „Jeśli przypuszczasz, że nigdy nie będziesz potrzebował pomocy Pogotowia — to odmów złożenia datku...“

To jest slogan, który powinien stać się wzorem dla wszystkich pożytecznych instytucyj.

Niech towarzystwa zajmujące się opieką nad młodzieżą mówią:

„Jeśli przypuszczasz, że nigdy nie będziesz potrzebował ciepła uśmiechu dziecka — odmów datku...“

„Jeśli przypuszczasz, że kraj twój, nigdy nie będzie potrzebował siły mięśni i mózgu tych dzieci — to odmów datku...“

„Jeśli przypuszczasz, że możesz zrobić lepszy użytek z tych pieniędzy, niż obdarowanie niemi biednych dzieci — to odmów datku...“

Tak — niestety wielu z pośród nas — woli bliźniemu utrzcć nos, niż otrzcć tzy...

MOŻEMY ZŁAGODZIĆ ZIMĘ.

Zastanawiamy się, czy zima będzie lekka, czy będzie ciężka. Myślimy, że to zależy od warunków atmosferycznych. Nie —

oddają masowo te odznaki. Może w PALu stworzą biuro „zwrotów wawrzynów“.

Administracje pism z rozpaczą patrzą — zazwyczaj na rosnące zwaly zwrotów nie-

Z POWODU LICZNYCH WYPADKÓW NIEPRZYJĘCIA WAWRZYNU.



Nowy ceremoniał przy doreczaniu wawrzynu.

w pierwszym rzędzie zależy to od nas. Leży w naszej mocy złagodzić srogość zimy, uczynić ją łżejszą.

ZWRÓCONE WAWRZYNY P. A. L.

Dzienniki przepelnione są sensacyjnymi doniesieniami. Oto odznaczeni wawrzynami

sprzedanych dzienników. Ale zwrócone dzienniki można przynajmniej sprzedać na makulaturę. A co zrobić ze zwróconymi wawrzynami? Chyba przechować — i na przyszły rok nagrodzić niemi... makulaturę.

Nastała

MODA OSKARZEŃ O PLAGJATY.

I to często najzupełniej nieuzasadnionych. Chyba, żeby udowodnić oskarżonemu, że jest telepatą i czyta w cudzych myślach.

Naogół jednak czytanie cudzych myśli nie jest u nas sztuką rozpowszechnioną. A ci, którzy posiadli nawet tę sztukę skarżą się, że mogą naszych bliźnich wyglądają jak stronicę gazet: — mnóstwo białych plam i niema co czytać.

Analfabetyzm rośnie w zastraszający sposób. Może nawet jest pewna logika w tem zjawisku — im więcej analfabetów, tem więcej białych plam w pismach. Gdy pisma będą miały same białe plamy, będziemy mieli 100% analfabetów. I wszystko będzie w porządku — nikt nie będzie czytać — i nie będzie nic do czytania. Parę rozkazów wydać można przez radio...

Odpowiedzi Redakcji.

WP. ANTONI MOSKWA W MIELCU; WP. WAN. DA MAYDELL W BYDGOSZCZY; WP. J. M. FICAK W RZESZOWIE; „ZŁOWIESZCZE PTAKI“; WP. Z. B. BZOMOWSKA W WIELICZCE; WP. BOGDAN JASIEŃCZYK-SZLESIŃSKI: Nie skorzystamy.

WP. J. N. KŁOSOWSKI W KRASNOSTAWIE LUB.: Zamieścimy.

WP. L. KOZŁOWSKI W SZCZUCZYŃCIE; WP. „N. A.“; WP. JERZY GRZYMAŁA; „REDLICZ“ W KIELCACH: Nie skorzystamy.

K. M. A. KRAKÓW: Z „Postaci fikcyjnych“ nie skorzystamy. Resztę zatrzymujemy.

WP. STEFAN SZAJDAK W KIWERCACH: Zamieścimy „Muzykę“.

WP. T. S. W KRAKOWIE: „Zadumał się wieczór“ ukaże się w I. K. C.; z reszty utworów nie skorzystamy.

WP. L. F. WE LWOWIE: Antyknul Wpana o Grotgerze był spóźniony. Odesłaliśmy go do Lwowa, ale poczyta zwróciła niedoroczona presytkę.

„CZYTELNIK Z POZNANIA“: Nie reflektujemy. „IR. MIR“: Zamieścimy.

WP. J. W. W WARSZAWIE: Narazie w tece.

WP. MGR. M. GASPARKA WE LWOWIE: Tylko pełne rocznice nadają się do podobnych wzmianek. Nie skorzystamy narazie.

szywe wiadomości — i czeka się spokojnie — a nuż część się sprawdzi.

Tak było n. p. z zimą. Mówiąc modnym stylem, poczęto „lansować“ plotki o lekkiej zimie. Przez dwa tygodnie zapowiadano lekką, niemal demokratyczną zimę. A tu nagle, ni z tego ni z owego, spadła na nas zima sroga, zima silnej ręki, niemal zima totalna. I co mamy robić? Dokąd iść poskarżyć się? Na zamek królowej Zimy?

Wobec łagodnej jesieni, jaka panowała do niedawna w naszym kraju, miano prowadzić roboty publiczne aż do połowy grudnia. Tymczasem spadł śnieg. Trzeba będzie związać wszystkie obozy pracy, obozy bez pracy, obozy pracy zastępczej.

DZIECI — NAJWIĘKSZY ATUT.

Wobec zbliżającej się zimy szczególnie trzeba otoczyć jaknajcieplejszą opieką — dzieci.

Wiele osób jest jeszcze niezuczonych na hasła śpieszenia z pomocą — działwie. — Proszę powiedzieć w jakimś towarzystwie: — Trzy tysiące dzieci chodzi w naszym mieście bez butów...

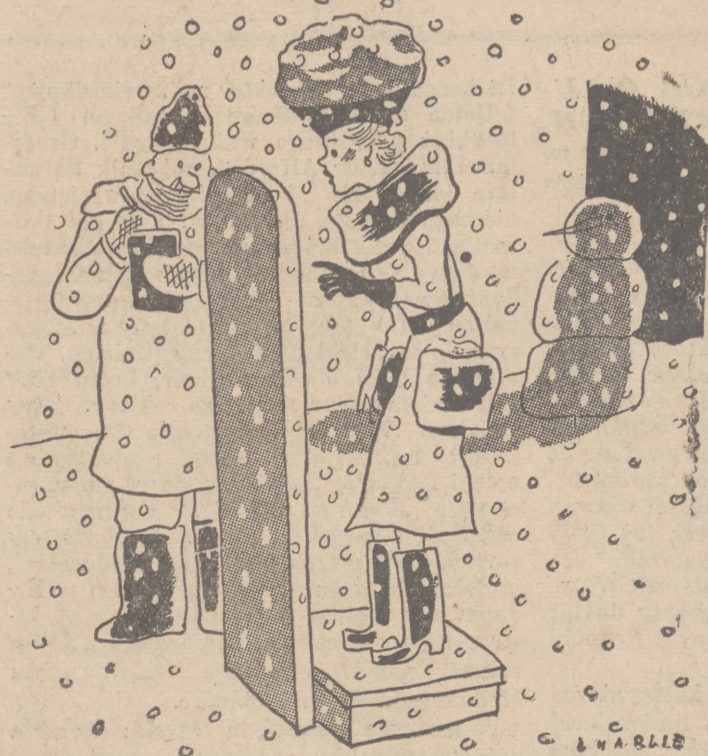
Napewno spotkacie się z rozsądną odpowiedzią bridzystów:

— Bo pewnie nie wyciągnęły atutów...

Nie zapominajmy jednak, że — właśnie największym atutem w rozgrywkach europejskich są dzieci. Jesteśmy krajem potężniejszym z roku na rok dzięki właśnie silnemu przyrostowi ludności.

Jeśli Polska C. jest nowym szansem, wzmagającym naszą obronność, to takim samym szansem jest każdy złódek, każda ochronka, każda instytucja chroniąca dziecko. Będziemy silni nie tylko przez żelazo, jakie wytapiać się będzie w hutach Polski

PIERWSZY ŚNIEG.

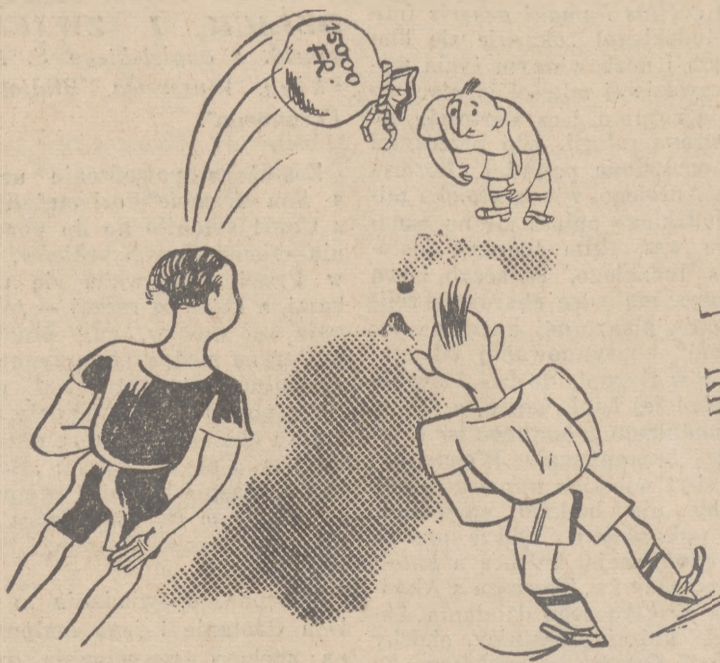


— Wielki Boże! Jak ja znowu przybrałam na wadze!...

Rys. Charlie.

JEST SPOŚÓB NA WSZYSTKO.

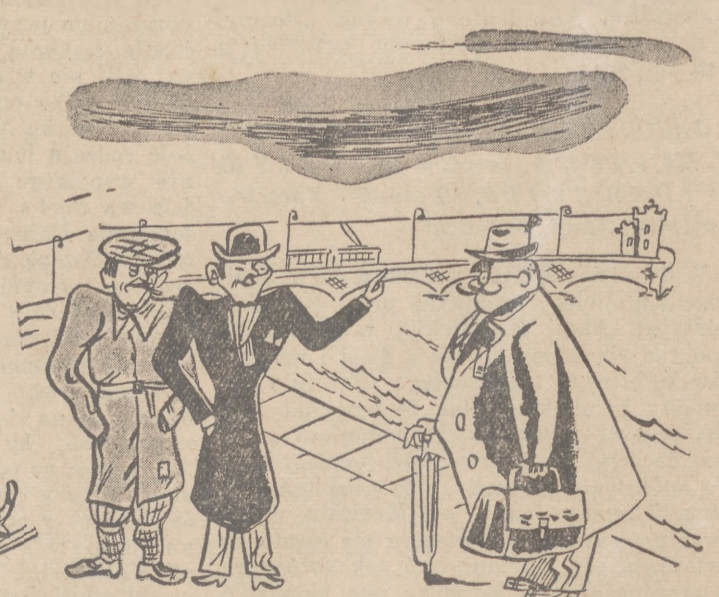
Rys. M. Piotrowski.



Wobec tego, że wszyscy polscy piłkarze wymawiają się od jakiegokolwiek udziału, w „oferze paryskiej“: „Główka“!

ZE ZJAZDU KUPCÓW W WARSZAWIE.

Rys. M. Piotrowski.



— Może szanowny pan kupi most Poniatowskiego? — Dziękuję, jestem detajlista. — Wobec tego może jedno przęsto?...

NIEOFICJALNA CZĘŚĆ KONGRESU KUPCÓW W WARSZAWIE

Rys. M. Piotrowski.



Pan pod dobrą datą: — Przepraszam, po czemu łokieć?...